

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 33.

Pamiętniki

Anny hr. Potockiej

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.



Dr. Leon Wolowski
TOM II

Cena 40 kop.

W prenumeracie 30¹/₂ k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Świat 47.

1898.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	}	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. Arcydzieła literatury powszechnej,
2. Dzieła beletrystyczne (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. Dzieła historyczne, szczególnie pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

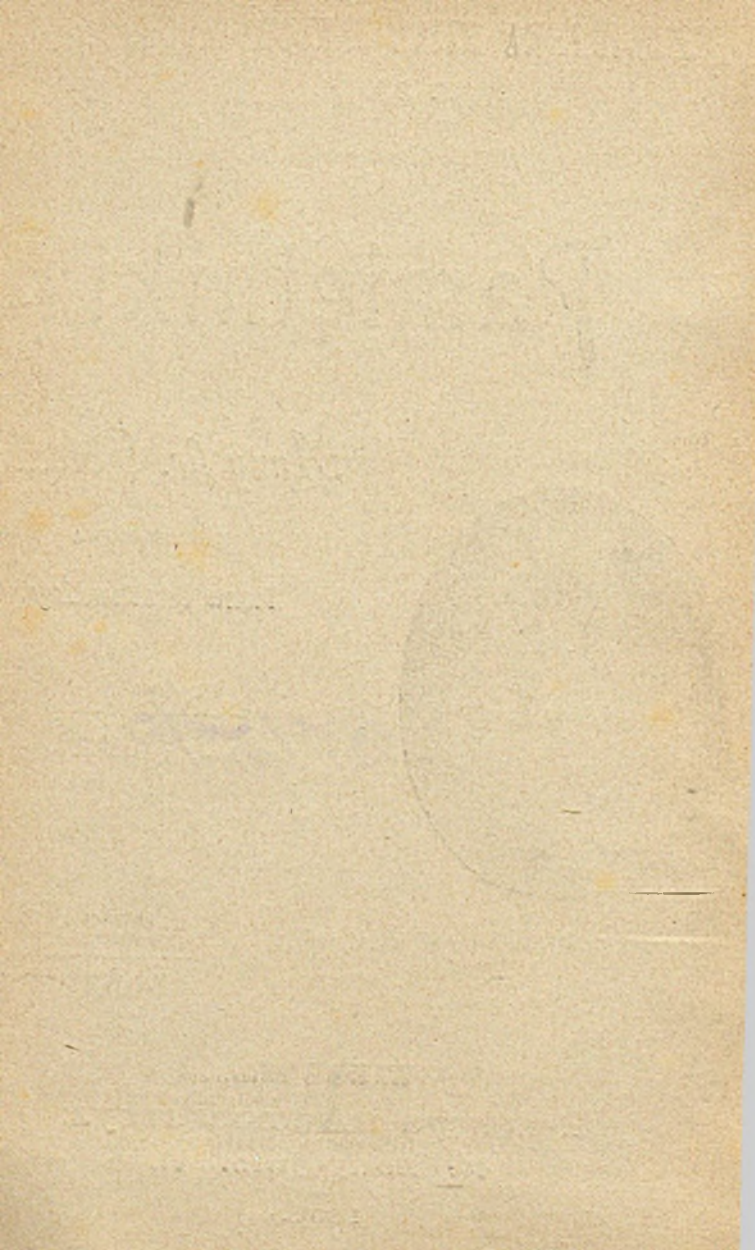
REDAKTOR

Franciszek Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 561.
Biuro: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.



Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. Powieści poetyckie, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. Tułacze, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Łyga*.
5. Gustaw Le Bon. Psycholog'ia rozwoju narodów, z przedmową *Juliana Ochornicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. Trzy nowelle, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. Z zapisek myślnego, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. Dzieje Księstwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. Cudna Mieszczka, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. Psalterz Dawidów, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. Zakopane skarby, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. Czarna Perelka, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. Stłumione Iskry, powieść, z przedmową *Ignacego Mutuszeńskiego*.
18. Juliusz Słowacki. Poemata, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. Szkoły historyczne w Polsce (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Remborskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. Szkice i obrazki, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
 - 22 i 23. Franciszek Węzyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
 24. Roman Plenkwicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
 30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
 31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
 - 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłoczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
-

Anna hr. Potocka.

Pamiętniki.

TLÓMACZYŁA

J. A. / No 1045
BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
Z REZERWĄ

Kr.
Piotra Chmińskiego.

TOM II.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



Pat
Pam
~~AD45~~

92 (P.O.)



Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Апрель 1898 года.



SN

19064

929-0524/2194(438)"17/18"

CZĘŚĆ TRZECIA.

PODRÓŻ DO FRANCYI

w roku 1810.

I.

Przedwstępne kroki do małżeństwa z Maryą-Ludwiką.

Śmierć hrabiego Tyszkiewicza, ojca hrabiny Potockiej. — Wyjazd do Wiednia. — Towarzystwo wiedeńskie. — Pałac de Ligne. — Dowcip księcia de Ligne. — Jego małżeństwo. — Hrabia Karol Damas. — Hrabina Palfy. — Wiadomości z Paryża. — Sprzeczki w arystokracji wiedeńskiej. — Przybycie Berthier'a. — List Napoleona do arcyksięcia Karola.

Tym, co piszą swoje pamiętniki, zbywa wogóle na szczerości względem czytelników. Prawie wszyscy spisują swoje wspomnienia zapóźno i układają je jednolicie. Słusznie, czy nie, ja zostawiłam swoim całą ich niedoskonałość i nie chciałam zacierać cechy czasu. Jednym słowem, wcale ich nie przerabiałam. Znajdzie się tedy w nich przejście bardzo wyraźne i ostre odcienia, jakie zdarzeniom naszym nadają la-

ta. Wszystko, aż do różnicy pisma, potwierdza wiarogodność tych stroníc.

Tutaj można zauważyć pierwszą przerwę. Pochłonięta boleścią, jaką mi sprawiła wiadomość o nagłej chorobie mego ojca, straciłam z oczu wszelkie inne zajęcia i odrazu zdecydowałam się zażądać paszportu do Wilna. Zwłoka, doznana ze strony rządu rosyjskiego, pozbawiła mnie pociechy znalezienia ojca przy życiu i otrzymania od niego przynajmniej ostatniego błogosławieństwa. Przyjechałam zapóźno..

Powróciłam do Warszawy, ale tam już nie zastałam mojej matki. Od śmierci pani Krakowskiej zamieszkała w Wiedniu. Nie chcąc się prezentować u dworu, osiadła stale w Baden, pragnąc żyć tam nieznana. Calem jej towarzystwem była jakaś rodzinna szwajcarska, do której się przywiązała.

W samym środku dość ostrej zimy moja kochana matka zaprosiła nas, abyśmy ją odwiedzili w Baden. Po miesiącu, wyobrażając sobie, że robimy zbyt wielką ofiarę, wyrzekając się rozrywek stolicy, zmuszała nas, abyśmy resztę zimy spędzili w Wiedniu. Przyrzekała nam, że niezadługo przyjedzie tam za nami. Przyjęłam chętnie propozycję mojej matki, tembardziej, że męża mego zaczynała nudzić jednostajność naszego trybu życia.

Pałac książąt de Ligne był wówczas ogniskiem, około którego się gromadzili wszyscy znakomici cudzoziemcy. Ubiegano się o zaszczyt, ażeby być tam przedstawionym. Przyjęta z wyjątkową dobrocią i pobłażliwością, bawiłam się tam lepiej niż gdzieindziej. Ten skromny salonik, te słomiane krzesła, które brano z przedpokoju, jeśli ich brakło w salonie, te oszczę-

dne kolacye, których jedyną ozdobą była rozmowa, ta czarująca prostota, wszystko to zasługuje, abym się nad tem zatrzymała z upodobaniem, a niedopełnienie tego byłoby niewdzięcznością.

Sławny książę de Ligne, mający z górą siedm-dziesiąt lat, był jeszcze jednym z najdowcipniejszych i najblyskotliwszych gawędziarzy swego salonu, nie-skończenie więcej zasługujący na uwagę ze względu na swoją rozmowę, niż na swoje dzieła. Pobłażliwy, łatwy, dobry, był ubóstwiany przez swe dzieci i kochał je dlatego, że były mile; przywiązywał wagę tylko do tego, co służy do uprzyjemnienia życia, gdyż w dobrej wierze sądził, że przyszedł na świat *jedynie* tylko po to, aby się bawić. Jeśli w swojej młodości ubiegał się o sławę, to dlatego tylko, że obiecywała mu ona nowe powodzenia, że czasem wygodnie jest napisać miłosny bilecik na liściu wawrzynu. Posiadacz znacznego majątku, który roz-trwonił na różne sposoby, tak samo, jak i swoje ży-cie, znosił ze stoicką wesołością niewygody, na jakie skazała go jego rozrzutność. Jego skromne słomiane krzesła, jego barani udziec, nieśmiertelny kawałek se-ra, dostarczały mu sposobności do tysiąca dowcip-nych żartów, bardzo dobrze przyjmowanych. Można-by powiedzieć, że na wesołości zyskał to, czego mu zbywało na majątku, i że na podobieństwo tego sta-rożytnego wędrowca, co rzucił w morze swoje skar-by, aby być szczęśliwym, chciał być biednym.

Księżna nie miała nic z tego, czego trzeba, aże-by być taką filozofką; zdawało się, że mąż i żona nie mówili tym samym językiem i nigdy nic sobie nie powiedzieli.

Księżna pochodziła z jednej z najdostojniejszych rodzin niemieckich, ale była uboga, jak wszystkie szlachcianki tego kraju i również pozbawiona wdzięku i dowcipu; niepodobna było pojąć, co zmusiło księcia do tego małżeństwa, tembardziej, że bynajmniej nie pochwałał sojuszków niemieckich. Jego starzy przyjaciele przytaczali zdanie, które mu się wymknęło, gdy po raz pierwszy zawiózł swoją młodą małżonkę do Brukselli, gdzie stał jego pułk. To zdanie maluje jego złośliwość i jego wyjątkową lekkomyślność. Gdy oficerowie zgromadzili się, aby być przedstawionymi księżnej, rzekł do nich:

— Jestem bardzo wzruszony, panowie, waszą uprzejmością, ujrzycie ją; uprzedzam was, że, niestety, nie jest ona zupełnie ładną, ale przynajmniej bardzo dobrą i łagodną, nikomu nie będzie zaważać, *nawet mnie!*...

W czasach, o których mówię, bardzo już podeszła w wieku, łatwo wpadała w zły humor, ale nikt się tem nie niepokoił, było nawet w zwyczaju zostawiać ją przy jej dywanikach, a kiedy ona robiła najobrzydliwsze hafty, grupowano się około księcia i jego córek i rozmawiano wesoło, ze swobodą pełną smaku i wdzięku, jakiej gdzieindziej nigdy nie spotykałam. Według zdania ówczesnych Francuzów, rozmowa z salonów paryzkich, odkąd Rewolucya wygnała ją z mieszkań stolicy, gdzie niegdyś było jej ognisko, schroniła się do tego skromnego pałacyku, To pewna, że nie spotkałam w Paryżu tak milego kółka; duch stronnictwa zepsuł tam ducha salonów. Z liczby codziennych gości, odwiedzających pałac de Ligne, przytoczę hrabiego Karola Damas, który trwa-

jąc uparcie przy emigracyi, z wszelką pewnością oczekiwał powrotu Burbonów. Zamieszkały od wielu lat w Wiedniu, raz tylko jeden wyjechał podczas tego, co nazywał *najazdem błękitnych*.

Zaledwie Francuzi opuścili miasto, powrócił, by, tak jak poprzednio, zamieszkać u swoich starych przyjaciół, ale z trudem zaledwie przebaczył księciu de Ligne, że przyjmował *szląkanych współziomków*. Tak nazywał wszystkich, co się przyłączali do nowego rządu. Pełnemu dowcipu, ale podlegającemu dziwnym kaprysom, przebaczano wszystkie jego szaleństwa, ze względu na szlachetny charakter i krańcowe dziwactwo. Słyszałam go używającego całej swej wymowy, aby dowieść, że wolno czasem przybierać *zły ton*, z warunkiem, żeby się nigdy nie miało *złego smaku* i dlatego uważał się upoważnionym do mówienia wszystkiego.

Myśleliśmy raz, że pomrzemy ze śmiechu, kiedy opowiadał nam najpoważniej w świecie, że druga z rzędu córka księcia de Ligne, hrabina Palffy, anioł cnoty i czystości, pobudziła go do zrobienia *złych znajomości*, wskazując mu mieszkanie najślawniejszych „nimf,” aby, jak mówiła, uratować opinię uczciwych kobiet, do których mógłby się zwracać. Tymczasem zaś podbródek, którego połowę zostawił przy oblężeniu Belgardu, i pięćdziesiątka biednego bohatera, były dostatecznemi rękojmiami.

Niezależnie od pałacu de Ligne, doskonale spędzało się czas u niektórych naszych rodaków. Jednym z najprzyjemniejszych domów, albo raczej z najwytworniejszych, był dom hrabiny Lanckorońskiej.

choć, prawdę mówiąc, pani domu pokazała się zbyt wielką austryaczką.

Pewnego wieczoru, kiedyśmy zgromadzeni kolo herbatnego stołu, gwarzyli bardzo żywo o zaszłych wypadkach, ktoś przyszedł, oznajmiając, że przybył kuryer z Paryża. Wiedeń bardzo ucierpiał na pobycie Francuzów; był on jeszcze pod wrażeniem przykrych wspomnień, a tajemnica, kryjąca się w świeżo przysłanej depeszy, wywołała w mieście wzburzenie.

Z wyjątkiem kilku Polaków, zebranych w tym świetnym salonie, wszyscy zgromadzeni niecierpieli Napoleona niesłychanie. Najgwałtowniejszym, a zarazem najniebezpieczniejszym jego wrogiem, był bez zaprzeczenia korsykanin, Pozzo di Borgo ¹⁾, który sam jeden umiał lepiej mówić i nienawidzieć, niż wszyscy Niemcy, obecni przy tej rozprawie. Słuchaliśmy jego przypowiedni, gdy oznajmiono hrabiego Rozumowskiego, ambasadora Rosyi.

Wszyscy pobiegliśmy na jego spotkanie i zarzuciliśmy go pytaniami. Wyraz jego twarzy nie dodawał otuchy, wydawał się wzburzonym, brakło mu głosu. Dopiero po kilku chwilach przedwstępnego milczenia mógł nas zawiadomić, że tajemniczy kuryer, przyczyna obecnej trwogi, tylko o kilka godzin wyprzedził marszałka Berthier, którego misya nadzwyczajna miała na celu prośbę o rękę arcyksiężniczki Maryi-Ludwiki dla jego dostojnego pana. Nadto ten żołnierz-parweniusz, ten książę wczorajszy, był wyznaczony na to, ażeby mieć wielki zaszczyt repre-

¹⁾ Karol Andrzej hrabia Pozzo di Borgo (1764 — 1842).

zentowania cesarza i króla w tej pamiętnej okolicy.

Ten rażący krok był skutkiem tajemnych układów, jakie zawarł i podpisał w Paryżu Metternich z upoważnienia i w imieniu cesarza Franciszka. Książę Neufchâtel znalazł na granicy jednego z największych panów kraju, księcia Pawła Esterhazy'ego ¹⁾).

Te szczegóły, opowiedziane z gorączkowym gniewem, musiały być prawdziwe. Można by powiedzieć, że piorun, padłszy na drut elektryczny, stał na proch jednostki, cisnące się około pana Rozumowskiego. Niebawem przyszła reakcja; po chwili milczącego osłupienia, w całym salonie rozległ się jednogłośny krzyk oburzenia. Krzyczano na nieprzyzwoitość i poziołość związku, oddającego w moc *najniegodziwszego przywłaszczyciela* pierwszą księżniczkę w Europie.

Były tam tylko stłumione przekleństwa i łkania. Panie podostawały nerwowych ataków, panowie pozwalali sobie przejść stopniowo od oburzenia do wściekłości. Krzyczano, że nie można już spodziewać się sprawiedliwości na tym świecie. Kobiety mówiły, że potrzeba chyba opuścić Europę i osiedlić się w Ameryce. *Najczulsze* zapewniały, że młoda księżniczka tego nie przeżyje i że taka profanacya nie spełni się. Inne przypuszczały, że Napoleon oszaleje z radości i że niebo na to chyba dopuści ten skandal, ażeby z tem większej wyżyny zdruzgotać nowożytnego Nabuchodonozora.

¹⁾ Książę Paweł Antoni Esterhazy galantha (1786—1866) reprezentował Austryę, jako ambasador, po kolei w Dreźnie i w Londynie.

Ja byłam spokojna wśród tej burzy. Nagła myśl ovladnęła moją wyobraźnię.

— Jakby to było zajmującym—pomyślałam—pojechać teraz do Paryża, aby przyjrzeć się temu świątelnemu mezaliansowi.

Resztę wieczoru spędziłam na rozbieraniu tego projektu i wróciwszy do siebie, zwierzyłam się z nim natychmiast memu mężowi.

Na nieszczęście, nie zajmowało go nic, co go odrywało od zwykłych zajęć; pragnął wrócić do Polski. Chociaż nie zbijał mojego żądania, które w gruncie rzeczy było dopiero marzeniem, napisał do swoich rodziców, a ci pospieszyli przysłać mi nietylko stanowcze zezwolenie, ale dołączyli do niego instrukcye, dotyczące pewnej ważnej sprawy, której miałam dopilnować.

Nazajutrz po tem burzliwem zebraniu zgromadziły się o tej samej godzinie te same osoby w tem samem miejscu, gdyż wciąż jeszcze ostro ganiąc to, co się działo, umierano z żądy poznania najmniejszych szczegółów. Łatwo zrozumieć, że nie opuściłam tego zebrania.

Książę Esterhazy zawiózł ambasadora do cesarskiego pałacu, gdzie wbrew przyjętemu zwyczajowi i etykiecie, mieszkanie było dla niego przygotowane. Aby oficjalnie wjechać do miasta, musiał przejść przez most, zbudowany naprędce na ruinach szaińców, które przy odejściu zburzyła armia francuska. Tego samego dnia marszałek był przyjęty u cesarza Franciszka na osobnej audyencji i dokonał uroczystej prośby o rękę.

Zaraz potem ambasador oddał arcyksięciu Ka-

rolowi własnoręczny list cesarza Napoleona, który upoważniał tego księcia do zaślubienia w jego imieniu arcyksiężniczki. Miałam wiele trudu z wystaraniem się o kopię tego listu, bądź co bądź posiadam ją. Oto ona:

„Kochany Panie Kuzynie!

Winienem podziękować Waszej Cesarskiej Wysokości, że zgadza się na reprezentowanie mnie przy zaślubinach arcyksiężniczki Maryi Ludwika. Wasza Cesarska Wysokość wie, że mój dawny szacunek oparty jest na jego wysokich zaletach, zarówno jak na jego wielkich czynach. Pragnąc niezmiernie dać mu jawny tego dowód, proszę go o przyjęcie wielkiej wstęgi Legii honorowej, jak również krzyża tegoż orderu, który zawsze sam noszę i którym jest ozdobionych dwadzieścia tysięcy żołnierzy, odznaczonych na polu bitwy.

Pierwsza z tych oznak jest hołdem dla twego geniuszu, jako generała, a druga dla twojej waleczności, jako żołnierza...”

Na trzeci dzień przystąpiono do spisania kontraktu cywilnego i wypłacenia posagu, wyznaczonego od niepamiętnych czasów arcyksiężniczkom. Posag ograniczał się do pięciuset tysięcy franków w złocie.

11 Marca (1810) odbyła się w kościele Augustyanów ceremonia religijna, po niej nastąpiła ucztą cesarska, na której był obecny ambasador, wbrew etykiecie dworu wiedeńskiego, nie dopuszczającej w żadnym razie cudzoziemców na *uroczystości rodzinne*.

II.

Pan Narbonne.

Pantofelek Maryi Ludwiki. — Pan Narbonne u księcia de Ligne. — Opiekun. — Przybycie do Monachium. — Kąpiel. — Celadon. — Hrabina wyjeżdża sama do Strasburga.

Gdy się to działo, przybył hrabia Ludwik Narbonne w charakterze ambasadora nadzwyczajnego, aby towarzyszyć, albo raczej poprzedzać młodą cesarzową, czuwać nad zwykłym w takich razach ceremoniałem i *w niczem* nie odstępować od tego, jaki zachowywano od przyjazdu Maryi Antoniny.

Niezbyt uposażona od natury, Marya Ludwika miała tylko zadziwiająco piękną nogę. Anatol Montesquiou, wysłany kuryerem do Napoleona, aby mu oznajmić o zawarciu ceremonij małżeńskich, jak również o dniu naznaczonym na wyjazd dostojnej narzeczonej, otrzymał tajemnie od pana Narbonne polecenie pokazania jego cesarskiej mości pantofelka księżniczki, jako portretu. Ta grzeczność w zupełnie nowym rodzaju miała na dworze francuskim wielkie powodzenie. Twierdzono nawet, że Napoleon

przycisnął do serca ten pierwszy zakład miłości, niestety, ulotnej.

Rzucony między arystokrację austriacką, aby swojemi manierami wielkiego pana i zachowaniem się dworaka równoważyć pospolitość i szorstkość Berthier'a, hrabia Narbonne był przyjmowany z wyróżnieniem.

Widywałam go codziennie w pałacu de Ligne, gdzie założył swoją, jak ją nazywał, główną kwaterę. Tam, zaznaczając swoją godność ambasadora nadzwyczajnego, zabawiał nas często kosztem *wysokich osobistości*, z którymi miał stosunki, a które w głębi duszy oburzone na to, co się działo, nie wiedziały dobrze, jak się zachować, aby nie ściągnąć na siebie otwartej nagany.

Jako starzec niezmiernie miły, miał on za swojej młodości świetne powodzenie na dworze francuskim. Porwany przez Rewolucję, zdawał się dobrowolnie łączyć z cesarskim rządem i ubiegał się o sławę mniej błahą, ale również mniej łatwą do zdobycia.

Zatwierdzony ministrem wojny przez Ludwika XVI, utrzymał się na tem wysokiem stanowisku zaledwie przez trzy miesiące. Umiarkowani rojaliści obwiniali go o anglomanię, twierdząc, że nie należy zezwalać na wpływy cudzoziemskie. Z drugiej strony kluby obwoływały go ze wściekłością za wroga Rewolucyi i Jakobinów. Schronił się do Szwajcaryi i pośpieszył popłynąć do Anglii, gdzie się dowiedział o śmierci Robespierré'a. Był jednym z pierwszych, co głosowali za wywyższeniem Napoleona po jego powrocie z Egiptu.

Hrabia Narbonne należał do tych ludzi, szczo-

dzie obdarzonych, ale przechodzących przez dzieje bez zajmowania zaszczytnego miejsca, jakie mogłyby im zapewnić ich talenta. Niepospolity w sprawach wojskowych, zręczny dyplomata, posiadał wszystko, aby odegrać ważną rolę w tych burzliwych czasach.

Sława Napoleona oczarowała go, a od chwili, gdy ujrzął swoją ambicyę zaspokojoną, swoje sprawy uporządkowane, swoje długi spłacone, przywiązał się do zwycięzcy. Słyszałam nawet, jak niejednokrotnie twierdził, że Napoleon posiadał nie tylko niezwykle geniusz, ale *nawet dużo dowcipu*. Było to bezporównania więcej, niż mu przyznawały piękne panie wiedeńskie. Zdarzyło się, że byłam obecną przy dyskusyi, która miała przekonać faktami wrzekomo *pewnemi*, że *potwór był tchórzem* i że wkrótce stanie się on idyotą, gdyż cierpiał na wielką chorobę.

Naprzekór tym śmiesznym potwarzom i wciąż pozwalając sobie na najniedorzeczniejsze manifestacje, wielcy panowie austriaccy roztaczali z okazji zaręczyn przepych i świetność, jakich przedtem nie widywano. Miliony, któremi szafował Napoleon, żeby jego przedstawiciel mógł sprostać temu dziedzicznemu zbytkowi, nie potrafiły zetrzeć nowożytnego pokostu, stanowiącego cechę każdej nowej dynastyi.

Powracam do pana Narbonne, odgrywającego pewną rolę w moich wspomnieniach, gdyż był opiekunem, któremu powierzył mnie mój mąż. Po przybyciu do Paryża miał mnie on odwieźć do mojej ciotki, hrabiny Tyszkiewiczowej, od wielu lat zamieszkałej w stolicy, na opuszczenie której nie mogła się zdecydować.

Oczekiwaliśmy z wyjazdem tylko na ceremonię zaślubin.

Poszłam do mojej matki prosić ją o błogosławieństwo i pożegnać się z nią. Zdziwił ją ten nagły wyjazd, ale nie ganiła go, dowiedziawszy się, że mąż mój i jego rodzice nietylko nie stawiali mi w tem przeszkód, ale mnie nawet do niego zachęcali.

Zalatwiłam się ze swemi przygotowaniem do podróży bardzo prędko. Wyjechałam w dniu oznaczonym, poprzedzana przez jego eksclencyę pana ambasadora nadzwyczajnego, który podjął się chętnie zajmować mojemi końmi i mojemi noclegami. Nie można było świetniej rozpocząć.

Na drugim popasie towarzysz mój poprosił mnie o pozwolenie zajęcia miejsca w moim koczku, aby wysłać naprzód swoje ekwipaże.

Zgodziłam się na to tem chętniej, że siedząc sama w olbrzymim powozie, miałam więcej miejsca niż mi było potrzeba. Zapewniałam sobie nieocenione towarzystwo. Pan Narbonne, świadek wielkiego dramatu Rewolucyi, znał wszystkie ważne osobistości tej epoki; doskonale umiał on wtajemniczać swoich słuchaczy we własne wrażenia, gdyż w wysokim stopniu posiadał dar opowiadania. Co za niespodziana korzyść w długiej podróży!

W innym razie wydalby mi się zbyt wyszukany w swoim dowcipie i zbyt mdły w swoich frazesach, wskutek przestarzałej galanteryi, ale na gościńcu mniej się jest wymagającą. Zresztą, nadzwyczaj miły, dobry, łagodny i usłużny, rządony przez

swego kamerdynera, prawdziwego lokaja z komedyi, który go rujnował, dogadzając jego zamilowaniu w zbytku, nigdy nie był markotnym, lecz zawsze w dobrym humorze.

Przyjechaliśmy do Monachium, zatrzymując się tylko, aby zjeść lekki posiłek, bardzo wykwintnie podawany przez zręcznego Frontina¹⁾, a przygotowywany przez marszałka ambasadora.

Ten sposób podróżowania podobał mi się tembardziej, że daleka byłam od domyślenia się, co było sprężyną działania mego opiekuna i jaką cenę chciał nałożyć za swoje grzeczności. Przypisywałam je wiekowi, w którym pan Narbonne rozpoczął swe życie światowe, myśląc dobrodusznie, że każdy Francuz dawniejszych czasów byłby tak samo postępował.

Na jednej ze stacyj pod Monachium hrabia wyprzedził mnie i podjął się chętnie wynaleźć dla mnie nocleg, co nie było łatwem, gdyż wszystkie hotele były przepelnione licznym orszakiem królowej Neapolu, jak również służbą, przeznaczoną dla młodej cesarzowej.

Przybyłam do Monachium o dzicwiatej wieczorem, uprzedzona biletem, zostawionym na rogatkach, żebym się udała do pałacu książęcego. Znalazłam tam nietylko wytworny apartament, ale nawet gotową kąpiel.

Zaledwie weszłam do wody, kiedy drzwiczki, ukryte za zwierciadłem, otworzyły się pocichu i ku

¹⁾ Zwykła nazwa lokajów u Molier'a,

memu wielkiemu przerażeniu do pokoju wsunął się mężczyzna i upadł na kolana tuż obok wanny. Wydałam okropny krzyk, moja pokojówka właśnie wysła, aby mi przygotować toaletę, ale zostawiła mi, na szczęście, dzwonek, którym konwulsyjnie potrząsałam. Zanim mnie usłyszała, mogłam się przypatrzyć sprawcy mej nagłej trwogi. Był to biedny pan Narbonne sam we własnej osobie! Przerażony wrażeniem, jakie wywołał, trwał nieruchomy w swojej pokornej postawie. Przez chwilę myślałam, że oszalał i spoglądałam na niego z mieszaniną litości i strachu.

Zmienił strój. Nigdy nie widziałam go tak ubranego wyszukanie; aby uzupełnić tę szczególną maskaradę, przemieniającą sześćdziesięcioletniego starca w modnego eleganta, uróżował się!

Niepohamowany śmiech zastąpił przerażenie, jakiego doznałam, gdy mój stary Celadon spróbował wypowiedzieć mi swoje zapęły. Moja pokojówka, na którą nie przestawałam dzwonić, przybiegła wreszcie, a biedny bohater tej śmiesznej przygody, podniósłszy się z trudnością, wymknął się strasznie zmieszany.

Po tem, co zaszło, niepodobna nam było podróżować razem bez straszliwego zakłopotania; kazałam zatem zawołać mego kurjera i powiedziałam mu, że postanowiłam wyjechać o świcie. Kazałam zapłacić hojnie i milczeć o moim projekcie. Wszystko spoczywało jeszcze we śnie w pałacu, gdy usadowiona w moim koczku, wyjeżdżałam wprost do Strasburga, gdzie chciałam zwiedzić katedrę i grobowiec mar-

szalka saskiego. Podróż ta, zajmująca sama przez się, była nią najbardziej dla mnie z powodu różnych okoliczności; zresztą opuszczałam Polskę po raz pierwszy, gdyż dotąd moje podróże ograniczały się na Wiedniu, dokąd jeździłam odwiedzać moją niatkę.

III.

Uroczysty wjazd do Paryża.

Hrabina Tyszkiewiczowa. — Przeszkody ceremonialne. — Żarty paryżkie. — Orszak. — Portret Maryi Ludwiki. — Słowo Napoleona. — Gwardya. — Paziowie. — Wrażenia tłumu. — Przedstawienie pani Souza.

Ciotka ¹⁾ najęła dla mnie apartament na placu Ludwika XV, w pięknym gmachu, który nazywano Garde-Meuble. Znajdowało się tam mieszkanie umeblowane, dokąd wprost się udałam.

Hrabina Tyszkiewiczowa odwiedziła mnie najajutrz po moim przyjeździe. Żywo zajęta bieżącymi wypadkami, pragnęła dowiedzieć się, co mówiono w Wiedniu.

Gdy zaspokoiliłam jej ciekawość, rzekła do mnie:
— Napoleon sam jest zdziwiony wielkością swego przeznaczenia.

Ciotka moja nie lubiła Napoleona, ale się go

¹⁾ Marya Teresa Poniatowska, hrabina Wincentowa Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa Poniatowskiego, ur. 1765, zm. 1834.

obawiała i tylko pocichu objawiała swoje zdziwienie w sposób mało poważania zdradzający.

— Cóż za szczęście ma ten człowiek! Więc to prawda, że mu się nic nie oprze? — mówiła — a gdy wzburzył świat, zwyciężył Austryę, wysadził w powietrze szanśce stolicy, do tego stopnia upokorzenia doprowadził nieszczęśliwego monarchę, że ten daje mu jeszcze swoją córkę, błagając o pokój!

Ciotka moja, trzymająca tajemnie z przedmieściem Saint-Germain, gdzie ją wprowadził Talleyrand, sądziła, że wie wszystko, co się działo w Tuileries, za pomocą stosunków, jakie on tam utrzymywał. Zapewniła mnie, że cesarz z początku był olśniony blaskiem tego związku; ale niepojęte postępowanie Maryi Ludwiki szybko rozwiało ten urok, i po dwóch dniach wyszukana grzeczność Napoleona ustąpiła przyzwyczajeniom wielkiego człowieka, czasami trochę zbyt zdobywczym, lecz tym razem usprawiedliwionym przykładem Henryka IV. Udał się na spotkanie swej młodej narzeczonej i zamieszkał w Compiègne, gdzie przez powolność bardzo niewczesną względem tego, który spodziewał się wzbudzić w niej pewnego rodzaju odrazę, księżniczka rozczarowała bohatera i zawiodła wszystkich tych, co chcieli ją uważać za ofiarę poświęconą dla spokoju Europy.

Przyjęciem w Compiègne zajmowali się Paryżanie co najmniej tydzień. Krytykowano bez miary azyatycki zbytek, jaki cesarz roztoczył w urządzeniu pałacu.

Gotownia była obwieszona najpiękniejszymi szalami indyjskimi; utrzymywano złośliwie, że te, co

tworzyły najpiękniejszą ozdobę, były to szale Józefiny; stwierdzono jednak z czasem, że Napoleon nigdy nie naruszył darów, jakimi obsypywał pierwszą swoją żonę.

Oskubawszy drobiazgowo wszystkie szczegóły, komunikowano sobie *na ucho prawdopodobne wyniki*. W niecałe dwie godziny Paryż wiedział, co sędzić o młodej monarchini, i niemało byłam zdziwiona swobodą rozmów, krążących po salonach. Nie odmawiano sobie ani uszczypliwych żartów, ani gry słów. Ponieważ nadchodził wielki tydzień, pozwolono sobie mówić, że przyszła cesarzowa chciała zrobić wjazd *en saiente*, a ten złośliwy dwuznacznik miał powodzenie, gdyż Francuzi, bardzo wymagający na punkcie dowcipu, jaki się posiada, nie są zbyt wymagającymi co do tego, jaki się wypowiada.

Zbliżające się uroczystości ślubu i zabawy, jakie miały po nim nastąpić, dały miśłom inny kierunek.

Musiałam wybierać między dwoma widowiskami ciekawymi: oglądaniem uroczystego wjazdu dostojnej pary wśród tłumów ludności, która ją oczekiwała na Polach Elizejskich, lub zamknięciem się od rana w galowej toalecie w kaplicy Tuileryjskiej, dokąd chciała mnie zaprowadzić moja ciotka. Zdecydowałam się na *wjazd*, tembardziej, że nie mogąc być jeszcze przedstawioną, uważałam za nieprzyzwoite ubieganie się o bilet i przywłaszczanie sobie miejsca.

Z okna mojego widziałam orszak królewski. Cesarz w kostymie hiszpańskim, tym samym, który wybrał na koronację, siedział w zwierciadlanej ka-

recie, całej złoconej, zaprzężonej w osiem andaluzyjskich koni, rzadkiej piękności. Ich maść izabellowata doskonale zgadzała się z zieloną barwą kosztownych uprzęży, zrobionych ze złota i jedwabiu. Szły one stępa i wydawały się dumne z roli, jaka im przypadła.

Marya Ludwika, pokryta dyamentami *Golkondy*, siedząca po prawej stronie cesarza, nie zdawała się wyłącznie go zajmować; był jakiś stroskany i zajęty wrażeniem, jakie wywierał na tłum ten wspaniały widok i z roztargnieniem słuchał niewielu słów, z jakimi zwracała się do niego młoda małżonka, której ukłony na sposób austriacki mogłyby szpeciść twarz daleko przyjemniejszą od jej oblicza. Francuzi, zepsuci wdziękiem Józefiny, a przytem niezbyt zadowoleni z tego związku, pozosta'li chłodnymi i nieczulymi. Nie było zupełnie zapалу, a bardzo mało okrzyków. Twierdzono, że Napoleon, wszedłszy do swego gabinetu, miał zawołać:

— Tak zepsułem Paryżan niespodziankami i niepodobieństwami, że nie zdziwiliby się, gdybym zaślubił Madonnę.

Mówić o licznych generalach, marszałkach, którzy konno w paradnych mundurach poprzedzali i postępowali za cesarską kareta, byłoby nudnem i prawie równie nietatwem, jak wymienianie królów i królowych, którzy się zjechali, aby wziąć udział w tem wspaniałem widowisku. Ich świetne ekwipaże, ich liczne świty, bogactwo i rozmaitość strojów, piękność kobiet, blask dyamentów, wszystko było imponujące ale nic, według mego zdania, nie wyrównało wspa-

niałemu szeregowi, złożonemu z gwardyi cesarskiej, zestarzałej już pod bronią i odznaczonej na wielu polach bitwy, która prowadzona przez sławny szary płaszcz, wielokrotnie decydowała o zwycięstwie. Ona jedna z zapalem okrzykiwała swego wodza, którego widziała w całym blasku majestatu.

Wokoło karety cesarskiej paziowie, „zaledwie wyszli z dziecięctwa“, ubrani bogato i ustawieni symetrycznie na stopniach, podobni do motyli gotowych odlecieć za najmniejszym ruchem, poetyzowali ciężki pojazd. Czyż mógł kto z nas przypuszczać, że kiedy krata ogrodu Tuilleryjskiego, otwierająca się tylko raz na rok w chwili udawania się cesarza do ciała prawodawczego, zamknęła się za orszakiem królewskim, już się nie otworzy dla tryumfów? Niestety! kończyły się piękne dni. Zbliżała się burza.

Iluminacje i fajerwerki przeciągnęły się długo w noc. Wino lało się strumieniami, rozrzucano pełnemi garściami złoto i medale, wszystko było świetne i wspaniałe, ale nie było ani radości, ani szerego wesela.

Jedni, i ci byli najliczniejsi, żałowali Józefiny, która przez swą wyjątkową dobroć i miłe zachowanie stała się drogą narodowi; inni uważali przybycie księżniczki austriackiej za wróżbę nieszczęścia. Wszyscy prawie, znużeni wojną, tryumfami, zdobyczami, postanowili nie być zadowolonymi z niczego, a nie mogąc już niczego pragnąć, dawali przystęp niezadowoleniu, które podtrzymywał w łonie rodzin wciąż odnawiający się pobór do wojska. Dlatego też tłum zdawał się uczestniczyć w tej świetnej uroczystości jedynie przez mimowolną ciekawość.

Ktokolwiek pisał swoje pamiętniki, musiał doznać pewnego kłopotu, mówiąc o sobie. I tak ja nie zrobiłam jeszcze wzmianki o mojem widzeniu się z panem F... Po wielu bezowocnych usiłowaniach u mego odźwiernego, pogwałcił on wreszcie zakaz i zjawił się nagle we drzwiach mego salonu. Na schodach spotkał księcia Dalberg, wychodzącego odemnie, i sądził, że miał prawo do odwiedzenia mnich!

Przyznaję, że to ukazanie się zmieszało mnie. Mówiliśmy o wszystkim, co chciałam obejrzeć i zrobić. Ofiarował mi swoje usługi i swoje rady i powiedział, że matka jego pragnęła mnie poznać; chciała mi podziękować za dobroć, jakiej syn jej doznał od moich rodziców podczas pobytu Francuzów w Warszawie.

Zaproponował mi, że jutro rano złoży mi razem z nią wizytę. Zgodziłam się z tem większą chęcią, że byłam bardzo ciekawa poznać osobę, której romanse i listy zachwycały mnie.

Bardzo naturalnie, że czyniłam wszystko, aby wydać się przyjemną, ale bardzo rychło spostrzegłam bezużyteczność moich usiłowań. Pani Souza zajmowała się *wyłącznie* sobą, uważała na każde swoje zdanie i wtrącała do rozmowy zgrabne i błyskotliwe słowa, które wyglądały na *przygotowane*; w sposobie jej wyrażania się nie było ani wdzięku, ani zanie dbania; chętniej czytało się jej dzieła, niż słuchało rozmowy. Byłam nadto uderzona jakąś poufałością, którą od pierwszego dnia chciała wprowadzić między nas *troje*. Była zarozumiała ze swego syna. Możliwość jej wybaczyć *dumę*. Ale pewność, że z jaką wróżyła mu

powodzenie, nie była w dobrym guście; on sam wydawał się nią zakłopotanym i napróżno usiłował wprowadzić swoją matkę na ton poważniejszy i przyzwoitszy. Dotknęła mnie ta śmiałość tak mało ukrywana i okazałam się uprzejmą, lecz chłodną; rozstałyśmy się niezbyt z siebie zadowolone.

IV.

D w ó r.

Cesarz.—Marya Ludwika.—Szczególny wygląd dworu.—Eliza.—
Paułina Borghèse.—Królowa neapolitańska.—Księżna Talleyrand.—
Salon hrabiny Tyszkiewiczowej.

Od chwili zamieszkania cesarzowej w Tuilleries przystąpiono do prezentacyj. Jako cudzoziemka, musiałam być przedstawiona nietylko cesarzowi i cesarzowej, ale wszystkim królowym i księżnom rodziny. Każda miała swój dzień; trzeba było zatem co rano rozpoczynać długą i utrudzającą toaletę i spędzać najpiękniejsze godziny dnia na wkładaniu i zdejmowaniu *sukni dworskiej*. Wieczorem wypoczywano.... na przedstawieniu.

Cesarz przyjmował koło południa w swoim gabinecie.

Po złożeniu trzech ukłonów zwyczajowych wymieniało nazwisko. Cesarz, stojąc z ręką opartą na biurku, czekał, obrzucając cię uprzejmym wzrokiem, jeśli byłaś ładna i młoda. Był to tylko wstęp do aktu jeszcze trudniejszego do wykonania. Przy wyjściu składało się trzy ukłony, ale cofając się. Trudność

polegała na tem, że trzeba było nieznacznym ruchem nogi odrzucać tren nadzwyczajnej długości; w tym ruchu można było wykazać wdzięk i dystynkcyę. Po trzech lekcyach nabrałam już dostatecznej wprawy.

Cesarz przyjął mnie z niezwykłą dobrocią, co znacznie zmniejszyło przykrość ceremoniału. Raczył zapytać mnie o wiadomości, tyczące się członków mojej rodziny, i mówił ze mną głównie o moim wuju, księciu Poniatowskim.

Mimo uwagi, z jaką przyjmowałam każde jego słowo, nie mogłam się powstrzymać od rzucenia okiem z zachwytem na wspaniałą *Sybillę* Guercin'a wiszącą nad biurkiem; przywieziona z Kapitolu, miała ona tam, niestety! powrócić.

Napoleon, którego uwagi nic nie uchodziło, natychmiast spostrzegł moje *przelotne* roztargnienie i rzekł mi, uśmiechając się, że jeśli lubię sztuki, powinnabym zaznajomić się z panem Denon i pójść do Muzeum.

— Ale przede wszystkim — powiedział — spodziewam się, że przygotowuje się pani do uroczystości, które mają się zacząć, i żadnej z nich nie opuści.

Poczem uklonił się nam.

Po wyjściu z gabinetu cesarza przeszliśmy do salonu przyjęć cesarzowej, gdzie zebrało się już mnóstwo ludzi. Wyszła ona ze swych apartamentów, a za nią liczny i świetny orszak. Smak, z jakim była ubrana, uczynił ją trochę *mniej brzydka*, ale wyraz twarzy pozostał ten sam. Ani uśmiech uprzejmy, ani spojrzenie ciekawe nie ożywiały tego drewnianego oblicza. Okrążyła ona zebrane, idąc od jednej do drugiej, jak ta lalka mechaniczna, poruszająca się

tak, jak się ją nakręciło, ukazując figurę sztywną, duże oczy porcelanowe, blado niebieskie i wciąż nieruchome.

Cesarz szedł koło niej, aby podpowiadać jej, co miała powiedzieć, głównie do osób, które chciał wyróżnić. Kiedy przyszła kolej na mnie, a osoba, przedstawiająca mnie, powiedziała młodej monarchini moje nazwisko, usłyszałam wyraźnie słowa: *pełna wdzięku*, które podszeptał Napoleon. Powtórzyła je tak sucho i z takim niemieckim akcentem, że byłam tem niezbyt zachwycona.

Dwór ten, tak wspaniały zdaleka, zbliżka tracił. Można w nim było zauważyć jakieś zamieszanie i nieład, wyplaszające pozór wielkości i blasku, które spodziewano się słusznie tam znaleźć. Obok kobiet bardzo eleganckich i bardzo bogato wystrojonych, zasiadały żony marszałków, niezbyt przyzwyczajone do noszenia dworskiego płaszcza. Prawie tak samo było z ich mężami, których haftowane mundury, tak świetne na paradzie, tak piękne na placu boju, nieprzyjemne stanowiły przeciwieństwo ze słowami i manierami niezbyt dworskimi. Pomiedzy nimi a panami *dawniejszymi*, którzy połączyli się już z obecnym rządem, panowała uderzająca różnica. Możliwe pomyśleć, że się jest na próbie, a aktorzy przymierzają swoje kóstyumy i powtarzają role. Ta szczególna mieszanina pobudzałaby do śmiechu, gdyby główna osobistość nie przejmowała jakimś poważaniem i strachem, które zacierały myśl o śmieszności, lub przynajmniej tłumity jej skutki.

Siostry Napoleona nie były wcale do siebie podobne.

Eliza, wielka księżna Toskańska, łączyła z rysami swego brata daleko surowszy wyraz. Przyznawano jej wiele rozumu i charakteru, a jednak nigdy nie słyszałam, żeby przytaczano coś, co ona powiedziała lub zrobiła. Wielcy mają zawsze koło siebie echa, gotowe powtórzyć to, co one wyrzekną choćby trochę zasługującego na uwagę. Milczenie jest jakby zaprzeczeniem. Dlatego nie byłam nią zachwycona.

Księżna Paulina Borghèse przedstawiała typ piękności klasycznej, takiej, jaką widzi się w greckich posągach. Mimo, że robiła wszystko, aby przyspieszyć *zniszczenie czasu* wieczorem za pomocą odrobiny sztuki, miała jeszcze za sobą głosy wszystkich i żadna kobieta nie śmiałyby ubiegać się razem z nią o *jablko*, jakie jej przynał Canowa ¹⁾, przypatrzwszy się jej, jak powiadają, *bez zasłony*.

Z rysami najdelikatniejszymi i najregularniejszymi, jakie można sobie wyobrazić, łączyła formy godne podziwu i *zbyt często podziwiane*. Dzięki tylu wdziękom nie zwracano uwagi na jej umysł; mówiono tylko o jej przygodach miłosnych i doprawdy, był to temat do długich rozmów.

Najmłodsza z trzech, Karolina, królowa neapolitańska, daleko mniej miała rysów klasycznych, niż jej siostra, ale twarz jej była nieskończenie ruchliwsza, miała olśniewającą cerę blondynki, figurę, ramiona, ręce bez zarzutu, a chociaż nie była wysoka, miała postawę królowej. Możliwy byłoby powiedzieć, że przyszła na świat zupełnie przygotowana do roli, jaką los jej wyznaczył. Co do jej inteligencji, dosyć

¹⁾ Znakomity rzeźbiarz.

jest przytoczyć zdanie Talleyranda, który twierdził, że ta główka ładnej kobiety spoczywała na barkach *męża stanu*.

Nikogo nie zdziwiło, że cesarz ją wybrał, aby pojechała naprzeciw jego narzeczonej. Ta olbrzymia różnica, jaka istniała pomiędzy Maryą-Ludwiką a Karoliną, sprawiła, że nigdy nie mogły się zrozumieć, ani pokochać.

Hortensya, królowa holenderska, była nieobecna, zarówno jak jej bratowa, żona wicekróla włoskiego; wyjechały wkrótce po mojem przybyciu, mogłam więc odpocząć.

Ciotka moja ¹⁾ skorzystała z tego, aby mnie zawieźć do Talleyranda, którego już około ćwierć wieku była niewolnicą. Zatrzymany na dworze obowiązkami swego urzędu, Talleyrand nie mógł wrócić na czas, aby nas przyjąć i kazał przeprosić; to było bardzo zwyczajne i nikt nie myślał o to się obrażać. Ale dziwniejszem nam się wydało, że wszedłszy do salonu, znalazłyśmy tam tylko *damę honorową* księżnej, która oznajmiła nam, że jej książęca wysokość *ewabiona promieniem słońca*, tylko co wyszła, aby się przejechać po lasku. Zaproszeni przybywali jedni za drugimi; czekaliśmy przeszło godzinę.

Wymówki nie byłyby nie na miejscu; ale obawiając się, aby nie *uchybić* sobie, gdyby się okazała grzeczną, księżna weszła z majestatyczną powagą, mówiła z nami o pięknej pogodzie, o balsamicznem powietrzu, zdając się uważać za całkiem naturalne, żeśmy na nią czekały.

1) Hrabina Wincentowa Tyszkiewiczowa.

Unikałam później widywania się z panią Talleyrand — niegrzeczne księżne nie są w moim guście, nadewszystko, kiedy są parweniuszkami. Ta, znana w całym Paryżu pod imieniem pani Grand, była nicością, której zatrzeć nic nie mogło, nawet jej wyniesienie; przytaczano jej brednie tak samo, jak dowcipy jej męża.

W tym czasie miała najmniej sześćdziesiąt lat; bądź co bądź, jej stanowisko zjednywało jej pochlebców, zapewniających ją, że była jeszcze piękna. Dlatego też chodziła w szynionie i stroiła się w kwiaty.

Kiedy Talleyrand zasiadał do gry lub się oddalał, w salonie tym panowały śmiertelne nudy. Rzadko przedtem doznawałam takiego wrażenia. A jednak większość z tych, co zwykle przychodzili do tego domu, byli to ludzie uczeni. Księżna do swej nicości przyrodzonej dodawała pretensjonalność wielkości, jak niemniej drobiazgi etykietalne, które czyniły ją nieznośną. Dlatego też wszyscy, którzy cieszyli się niezależnością i nie mieli z księciem stosunków urzędowych, odwiedzali go wtedy tylko, kiedy byli pewni, że zastaną go samego.

Prawie co tydzień towarzystwo Talleyranda zbierało się u mojej cioki, gdzie się bynajmniej lepiej nie bawiłam. Zapraszała ona z kolei znakomitych współziomków i przejezdnych cudzoziemców. Dom jej miał wiele wziętości.

Nie mogę pominąć niemilej niespodzianki, jakiej doznałam, widząc, że całą przyjemnością była tam gra o bajeczne sumy. Bank trzymali nieznajomi, z którymi nikt nie rozmawiał; roztaczali oni swe

bogactwa, ażeby kusić przytomnych. Zdawało się, że obawiano się zetknięcia z nimi, traktowano ich jak paryasów. Ich podejrzliwe spojrzenia przesuwaly się z jednych na drugich, ani na chwilę nie spuszczaając z oczu rąk graców. Było w tem wszystkiem coś upokarzającego i szatańskiego. Żądza zysku sama jedna przewodziła w tej dziwnej rozrywce. Skurczone twarze graców, ponura, nieruchoma postawa bankierów, milczenie, panujące w tym salonie—gdzie ryzykowano często jednej nocy los całej rodziny—wszystko wydało mi się ohydny. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wyrazić mojego zdziwienia, a może nawet *naiwnego oburzenia*, ale ciotka moja odparła mi chłodno, że widać, iż *przybywam z daleka*, że takie zabawy odbywały się wszędzie, i że *książę*, dużo pracując, u niej znajdował rozrywki, których jego stanowisko wzbraniało mu u siebie.

Przy tym to przeklętym stoliku spotkałam po raz pierwszy starą księżnę de Luynes ¹⁾, zbudowaną jak żandarm i ubraną, jak najpospolitsza kobieta; grała z zapamiętałością, miała głos stentorowy, śmiała się do rozpuku, klóciła się z rzadką gburowatością— a wszystko uchodziło za *oryginalność*. Przyjętem było nawet podziwiać szlachetność i stałość jej charakteru i niezmiennosc jej przekonań. Co do mnie, nigdy nie mogłam się przyzwyczaić do tej męskiej powierzchowności i dobrego tonu żołnierskiego.

Ach! ileż razy przychodził mi na myśl mój ko-

¹⁾ Elżbieta Józefa de Laval-Montmorency, księżna de Luynes, ur. 1755 r.

chany pałac de Ligne! Snopy światła nie oświetlały tego skromnego salonu; oszczędne kolacye w niczem nie były podobne do tych uczt, jakie podawano tym sybarytom, ale jakaż obfitość dowcipu, jaka miła i szczerza wesołość! O ileż przekładałam ten stół pustelniczy nad te smutne biesiady!

V.

Z a b a w y.

Zabawa w Neuilly u księżnej Pauliny Borghèse. — Zamek Schoenbrunn. — Wzruszenie Maryi Ludwiki. — Bal w ambasadzie austriackiej.

Księżna Paulina Borghèse pierwsza wydała bal dla znakomitej pary. Było to w połowie maja; zdawało się, że Neuilly, gdzie mieszkala, ustroiło się w kwiaty na przyjęcie świetnego tłumu, przybywającego ze wszystkich punktów kuli ziemskiej, aby przypatrzeć się wszystkim tym cudom.

Od sztachet parku powozy miały rozkaz podjeżdżania przed salą widowiskową, zaimprovizowaną przez wróżki. Przezroczyste i lekkie galerye, darniowe schody, przyozdobione egzotycznymi roślinami, łoże ustrojone w girlandy kwiatów, zajęte przez piękne kobiety, niebo gwiaździste, całe otoczenie poetyczne i pełne niespodzianek nasuwało myśl o ogrodach Armidy ¹⁾. Młoda cesarzowa, która wogóle nie za-

¹⁾ Czarodziejka w poemacie Tassa: „Jerozolima wyzwolona.“

chwycala się niczem, nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku przy wejściu do tej sali, gdzie ją oczekiwano.

Cesarz z większym wdziękiem i niedbalością wyraził swoje zdziwienie i zadowolenie, i czule podziękował siostrze.

Najlepsi aktorowie teatru Francuskiego zagrali sztukę, której nikt nie słuchał; najslawniejsi tancerze wykonali balet, na który nikt nie patrzył!... Trzeba tu było harf złotych, śpiewów melodyjnych, muzyki niebiańskiej.

Kiedy przedstawienie się skończyło, Paulina wzięła pod rękę swoją siostrę i królewski orszak, za którym myśmy postępowali, zmierzył do sali balowcj, przechodząc przez park oświetlony tysiącami lampionów, zasłoniętych splotami kwiatów, których woń balsamiczna rozlewała się w powietrzu.

Kilka orkiestr, rozrzuconych z niewypowiedzianą sztuką, odpowiadały sobie ustawicznie, naśladowując echa górskie; ta muzyka w nowym rodzaju wywoływała rozkoszne wrażenie; przechodziliśmy w ten sposób z czarów w czary. Raz była to wytworna świątynia, gdzie Amor budził się zaskoczony przez Gracye; to pustelnia o surowym wyglądzie: pielgrzymi wracający z Palestyny prosili o gościnę, pustelnik otwierał zakratowane drzwiczki swej sielskiej kaplicy i rozpoczynały się śpiewy. Wszystkie talenta wezwano na tę uroczystość. Gracye przybyły z opery, a pielgrzymi z konserwatorium.

Śpiewy i tańce miały tylko na celu wysławianie doskonałości młodej monarchini i głoszenie na wszelkie sposoby radości, jaką zrodził jej przyjazd. Amor

ofiarowywał jej koronę z róż, odebraną Gracyom, a trubaduwowie śpiewali romanse pełne pochwał i życzeń.

Nieznacznie ścieżka zwęża się, gaj staje się ciemniejszym, dźwięki harmonijne milkną, a czarodziejka, która przygotowała te cuda, udaje wielkie niezadowolone i utrzymuje, że zblądziła i prowadzi nas dziękami drożynami.

Przechodzimy przez most wiszący, pod którym woda tworzy kaskadę tak umiejętnie oświetloną, że wydaje się jakby w ogniu.

Wśród milczenia rozlega się głos cesarza, który skarży się na ciemność i ma minę, jakby wierzył, że siostra jego istotnie zgubiła drogę, kiedy nagle na zakręcie labiryntu znajdujemy się bezpośrednio na trawniku, oblanym światłem tak jasnym, że możnaby rzec, skradzionem słońcu.

Na końcu trawnika wznosił się zamek Schoenbrunn, ze swoim obszernym dziedzińcem, fontanami, portykami, a nadto z ruchem i życiem, którego brak tej okazałej rezydencji. Były to przygotowania do uroczystości: powozy, tłumy przechodniów, skromne mleczarki w tradycyjalnych złotych czepkach, lokaje usłużni w cesarskich liberyach, a grupy Tyrolczyków przy dźwięku kobz, zbliżywszy się, tańczyły walca narodowego. Sztuka, z jaką odtworzono w oddaleniu kształty tego obszernego zamku, efekt światła i cienia umiejętnie połączonych, wszystko to tak dobrze ludziło wzrok, że można było uwierzyć w czary i ci, co jak ja, znali Schoenbrunn, mogliby pomyśleć, że się znajdują w tym królewskim pałacu.

Dworacy zapewniali, że na ten widok cesarzowa *załala się łzami!* Byłoby to całkiem naturalne;

wspomnienia dzieciństwa powinnyby jej wycisnąć parę łez, ale ja zaświadczam, że jej wzruszenie, jeśli go nawet doznała, było bardzo przemijające, gdyż w chwili kiedy na nią spojrzalam, nie spostrzegłam najmniejszego śladu rozczenia na tej zimnej i *nieruchomej* twarzy. Co do cesarza, kilkakrotnie dziękował swojej siostrze i był jej nieskończenie wdzięczny za trudy, jakich dołożyła w przygotowaniach do tej uroczystości, pierwszej i najpiękniejszej ze wszystkich, które się odbyły na cześć Maryi-Ludwiki.

Księżę Schwartzenberg, ambasador austriacki zdecydował się ustąpić pierwszeństwa tylko bratowej młodej monarchini. Bal, który wydał, nastąpił zaraz po uroczystości w Neuilly i swoją sławę zawdzięcza strasznej katastrofie, co go uczyniła historycznym. Ponieważ lokal ambasady nie był dość obszerny, ażeby mógł pomieścić dwa tysiące zaproszonych osób, wzniesiono pośród ogrodu olbrzymią salę balową, łączącą się z apartamentami za pośrednictwem eleganckiej galeryi. Sala ta i galerya, zbudowane z tarcic, były pokryte płótnem smołowem i przybrane na wewnątrz draperjami z różowego jedwabiu i srebrnej gazy. W chwili, kiedy ukazał się ogień, znajdowałam się w tej galeryi i być może, że zawdzięczam moje ocalenie przypadkowi, który mi zrobił żywą przykrość. Miałam suknię z gładkiego tiulu, u dołu której był bukiet z białego bzu, przymocowany do mego paska łańcuchem poszczepianych z sobą brylantów, składającym się z lir; kiedy tańczyłam, łańcuch ten rozpinął się. Hrabina Brignole, która mi matkowała na tym wieczorze, widząc, że mam walcować z wicekrólem, uprowadziła mnie na galeryę, ażeby pomódz

mi odpiąć ten nieszczęsny łańcuch. Podczas kiedy ona była zajęta tą czynnością, spostrzegłam jedna z pierwszych lekki dym, spowodowany kandelabrem umieszczonym pod festonem z gazy; ponieważ zgromadziło się około nas wielu młodzieńców, pośpieszyłam zwrócić uwagę ich na to, co było dopiero tylko groźbą. Natychmiast jeden z nich wskoczył na ławkę, aby zapobiedz niebezpieczeństwu, zerwał gwałtownie draperyę, która uniósłszy się nagle nad żyrandole, zapaliła się i udzieliła płomienia sufitowi ze smolewego płótna. Na szczęście dla mnie, pani Brignole nie lekceważyła niebezpieczeństwa, pochwyciła mnie za rękę, biegiem przebyła wszystkie salony i nie czekając ani chwili, zbiegła ze schodów i odetchnęła dopiero, przebywszy ulicę i schroniwszy się do pałacu pani Regnault, położonego naprzeciw ambasady. Tam, padając na fotel, wyczerpana biegiem i wzruszeniem, ukazała mi balkon, ażebym zdała jej sprawę z tego, co się działo. Nie rozumiałam tego niespodziewanego przerażenia, gdyż chętniebym dalej tańczyła, tak dalece wydawało mi niepodobnem, aby nam groziło poważne niebezpieczeństwo w miejscu, gdzie się znajdował cesarz!...

Wkrótce kłęby dymu otoczyły salę balową i tę galeryę, którą właśnie opuściliśmy. Muzyki nie było już słyhać, głośny zgiełk powstał bezpośrednio po świetności zabawy, krzyki i jęki dochodziły aż do nas; wiatr przynosił wyraźnie słowa, okrzyki rozpaczcy, wolano się, szukano, chciano się upewnić o losie tych, których kochano i którzy byli wystawieni na to straszliwe niebezpieczeństwo.

W liczbie ofiar znalazła się księżna Schwar-

tzenberg, bratowa ambasadora, która nie widząc koło siebie swojej córki, rzuciła się w płomienie; przygniół ją żyrandol, którego sznur się obsunął. Niestety! dziecko jej wolne od niebezpieczeństwa, przyzywało ją głośnemi krzykami... Księżnę Leyen spotkał ten sam los, ale przeżyła kilka dni. Ponieważ córka jej była zaręczona, nie pamiętam już z którym księciem niemieckim, miała ona tyle siły woli, ażeby wymódzi, że ślub odbył się u stóp jej łoża boleści. Zginęło wiele innych osób; mówiono o nich mniej, gdyż nie znano ich nazwisk, ponieważ wiele z nich, przybywszy z obcych krajów lub z prowincyi, przyplacilo życiem chwilę przyjemności. Wiele kobiet ujrzało się ograbionemi ze swych klejnotów, rabusie, przelazwszy przez mur, oddzielający ogród od ulicy, uprawiali swe rzemiosło z całym bezpieczeństwem dzięki ogólnemu popłochowi.

W kilka chwil salon pani Regnault Saint Jean d'Angely napelnił się ranionymi. Był to widok zarazem okropny i dziwny, gdy się patrzyło na te wszystkie osoby przybrane w kwiaty, w sukniach balowych, wydające jęki, które tak rażąco stanowiły kontrast z ich strojem.

Spędziliśmy większą część nocy na pocieszaniu ich i niesieniu im pomocy, o ile było to w naszej możności. Za nadejściem dnia trzeba było wracać. Służba i powozy zniknęły. Osoby, mogące chodzić, musiały pójść pieszo w balowym stroju i w trzewiakach z białego atlasu. W tej samej godzinie ulice były zatłoczone wózkami ogrodników; wzięto nas zapewne za waryatki i trzeba nam było znieść pociski konceptów.

Jakkolwiekby Paryżanie są lekkomyślni, katastrofa ta wywarła żywe i głębokie wrażenie. Wywołała ona gadaniny wszelkiego rodzaju; chciano w tem widzieć machinacye podłej polityki. To tylko pewna, że gorliwi dworacy namawiali cesarza, aby się oddalił, zanim tłum opanuje wszystkie wyjścia, starając się rzucić w jego umysł ohydne podejrzenie; ale Napoleon, zawsze spokojny w niebezpieczeństwie, nie posłuchał tych nędznych potwarzy; odprowadziwszy cesarzową do powozu, wszedł do ambasady, mówiąc księciu Schwartzenberg, że przyszedł pomódz mu w *gaszeniu ognia*.

Zdanie to wywarło wielkie wrażenie, przejęło Austryaków podziwem i wdzięcznością, wszyscy Niemcy, obecni na zabawie z ambasadorem na czele otoczyli cesarza i ten szaniec serc mniej lub więcej wrogich być może na tę chwilę dorównał oddziałowi gwardyi cesarskiej.

VI.

S a l o n y.

U Denon. — Stopa mumii. — Salon wicehrabiny Laval. — Petrarka i Laura. — Państwo Davout w Savigny. — Kuropatewki marszałka. — Pan F...t. — Śniadanie u pani Souza. — Labédoyère. — Księżna kurlandzka. — Talleyrand i jego seraj.

Raz rzuciwszy się w świat, byłam pochłonięta towarzyskimi obowiązkami i zaledwie rankiem tylko mogłam znaleźć czas na zwiedzanie muzeów i pracowni. Spotkałam pana Denon; — miał on doskonały smak, zachwycającą wesołość i sprzeczości bez granic. Z chęcią zgodził się towarzyszyć mi do Luwru, który w tym czasie zbogacił się arcydziełami, zabraniami z Włoch. Wkrótce potem uprzejmy przewodnik zaprosił mnie na śniadanie, aby mi pokazać swoje własne małe *muscum*, to jest zbiór cennych przedmiotów, jakie pozbierał w różnych krajach, a szczególnie w Egipcie. Z upodobaniem zwracał uwagę naszą na maleńką nóżkę mumii, tak cudną, tak drobną, tak ładnie zoksydowaną przez czas, że miałam chęć ukraść ją, aby sobie zrobić z niej przycisk.

— Proszę patrzeć — rzekł pan Denon — co za cudo! Otóż, trzeba wiedzieć, że według wszelkiego

prawdopodobieństwa, pochodzi ona w linii prostej z rodziny Faraonów.

— Któż to może wiedzieć — powiedziałam — może to jest noga jednej z żon Sezostrysa?

— Niech będzie Sezostrysa — odparł -- ale w takim razie żony, którą najbardziej kochał i po której płakał całe swoje życie.

Ciotka moja przedstawiła mnie swoim przyjaciółom; wszyscy prawie mieszkali na przedmieściu Saint-Germain, to jest należeli do opozycji. Szarpano tam wszystko, dużo wzdychano i zupełnie się nie bawiono; ja także bawiłam się tam tylko średnio. Jedynym przyjemnym domem, do jakiego mnie wprowadziła, był dom wicehrabiny Laval. Ta dowcipna kobieta brała rzeczy z dobrej strony; chełpiła się, że tak powiem, swoim ubóstwem, nigdy nie mówiła o tem, co straciła, nie zdawała się uważać za złe, że inni się z bogacili; trzeba było, żeby majątek pocieszył ich za to, że nie byli z Montmorency. W tem rzecz.

Wyborowe towarzystwo, z którego młodzież wszelkich stronniectw nie była wyłączona i gdzie nawet ubiegała się ona, aby być przyjętą, zbierało się często w saloniku wicehrabiny; chodzić tam, znaczyło mieć patent na uprzejmość i dobry smak. Dom — chcę mówić o służbie — składał się z lokaja i murzynki, zajmującej pośrednie miejsce między niewolnicą a powiernicą; ona robiła herbatę. Na tych przyjęciach bardzo skromnych spotykałam wszystko, co Paryż zgromadził z ludzi znakomitych. Talleyrand i księżna kurlandzka ¹⁾ należeli do gości najpilniej

¹⁾ Anna Karolina Dorota Medem, księżna kurlandzka, ur. 1761—1821.

uczęszczających. Pani Talleyrand nigdy tam nie chodziła: *oddawała sobie sprawiedliwość*. Tam tylko slyszalam mówiących bez przymusu, polityka i duch stronnictw były wygnane. Pani Laval z niewymowną zręcznością poddawała temat do rozmowy: kiedy spostrzegła, że aktorzy są na scenie, milkła i zdawała się być pochłonięta swoją robotą drutową z grubej wełny, przynajmniej dotąd, póki jej nie poruszyła jakaś kwestya niezwykle zajmująca. Wówczas inni milkli z kolei; mówiła ona z wdziękiem tak oryginalnym i tak dowcipnie, że wszyscy byli pod urokiem. Musiała być niegdyś bardzo ładna; jej oczy czarne, mądre i łagodne, zachowały jeszcze blask zadziwiający. Słyszałam jak opowiadano, że jej stary szwagier, książę Laval, znany ze swoich głupstw, chcąc kiedyś wypowiedzieć jej swój zachwyt, jakiego doznawał przy tem aksamitnem spojrzeniu, zawołał:

— Trzeba przyznać, moja siostrze, że masz oczy koloru aksamitnych spodni.

Znałam tego biednego księcia, bardzo steranego, umierałam ze śmiechu przy jego bredniach, powzięłam nawet myśl zebrania ich, gdyż w istocie były one niezwykle; na nieszczęście, albo bardzo szczęśliwie, głupstwa zapomina się szybko.

Opowiem przecież następującą anegdotę:

Było to na obiedzie u Talleyranda. Siedzieliśmy przy stole, gdy przyszedł książę Laval, na którego długo czekano. Pan domu, bez porównania grzeczniejszy od swojej żony, rozplywał się w przeprosinach. Książę w tym czasie miał manię skupowania starych portretów; przyznał szczerze, że zapóźnił się z powodu targu o obraz.

— Z założę się — rzekł Talleyrand — że zrobies pan jeszcze nabytek z jakiegoś starego bohomazu.

— Ależ tak! — żywo odparł książę z powagą. — Jest to jeden z tych bohomazów, którybyś chętnie przyjął dla przyozdobienia swej biblioteki. Są to portrety dwóch sławnych osobistości.

— Ba! — powiedział Talleyrand, pogardliwie wydymając usta. — I cóż to są za osobistości?

— Poczekaj pan chwilę — rzecze biedny amator widocznie zmieszany, jedząc zupę, aby zyskać na czasie i ochłonać; — kobieta ma to samo imię, co pani Regnault Saint-Jean d'Angely: jest to jakaś Laura. Co do pana, zapominam zawsze jego imienia; jest to coś podobnego do *Patragne!*

Wszyscy umilkli; była to jedna z tych zdradzieckich ciszy, które poprzedzają wybuch szalonego śmiechu.

Lecz amfitryon nastaje na lichą pamięć biednego księcia, bez najmniejszego względu na współbiesiadników, po których prowadzi wzrokiem spokojnym, lecz pełnym złośliwości.

— Naucz - że się raz na zawsze imion swych bohaterów, mój drogi przyjacielu; chciałeś zapewne powiedzieć Laura i *Plutarch.*

— Tak, tak, właśnie ten nicpoń Plutarch, zawsze go zapominam. Przy targu byli tacy, co mówili Petrarca, o ile mi się zdaje, ale to nieuki, którzy nie lepiej odemnie znali *imię rzeczywiste* kochanka Laury. Plutarch!... wszyscy to wiedzą... i ja także wiedziałem, przecież to historycznel!

Tego było za wiele; wybuchy śmiechu, długo powstrzymywane, stały się homerycznemi. Tylko ie-

den Talleyrand pozostał obcy tej wesołości i rzucając na całe towarzystwo surowe wejrzenie, miał czelność zapytać księcia, co znaczy ta wesołość, której przyczyny udawał, że nie *odgaduje*.

Pani Souza, której syn był niezdrów, opuściła nas nagle, szczęśliwa, że może czemś rozerwać swego chorego. W istocie nie widziałam od kilku dni pana F., ale co rano oddawano mi bukiet sijołków razem z programem na cały dzień: albo było coś ciekawego, co wypadalo wiedzieć, albo coś niezbędnego, czego nie należało zaniedbać. Dlatego pojechałam do marszałkowej Davout, która mię zasypywała grzecznościami podczas swego pobytu w Warszawie, kiedy mąż jej był gubernatorem w Polsce. Ponieważ lato przepędzała ona w Sarigny, tam trzeba było jej szukać. Posłałam do jej pałacu w mieście z zapytaniem, która godzina będzie najdogodniejsza do złożenia wizyty, i odpowiedziano mi, że w ciągu dnia. Udałam się więc do Sarigny podczas szalonego upału, niedobrze osłonięta malutkim kapelusikiem, przybranym sijołkami i bardzo skrępowana w liliowych ciżemkach, doskonale przystosowanych do sukni pod szyję z grodenablu tej samej barwy; pani Germont, wyrocznia mody, sama skombinowała całą moją toaletę.

Ta ranna elegancja wydawała mi się dość niewłaściwą.

Obiecywałam sobie jednak miłą wizytę, gdyż pałac marszałkowej w Paryżu dał mi dobre wyobrażenie o jej smaku i jej dostatkach i myślałam, że urządziła się zbytkownie w Sarigny. Przyjechałam koło trzeciej. Zamek, otoczony fosą i murem, miał

jako wejście bramę szczelnie zamkniętą, w rowach rosła trawa, możnaby powiedzieć, że to posiadłość opuszczona od niepamiętnych lat. Kiedy mój lokaj znalazł wreszcie sznur od dzwonka, przybiegła po kilku minutach dziewczynka źle ubrana z zapytaniem, czego sobie życzę.

— Czy pani marszałkowa jest w domu?

— Przepraszam, *one są*, ale pan marszałek także, odrzekła dziewczynka,

I pobiegła szybko zawołać jednego z ludzi zamkowych, który za nią poszedł, nie spiesząc i poprawiając wciąż swoją liberyę.

Kazałam się zameldować i wciśnięta w róg powozu, czekałam jeszcze dość długo, nie wiedząc dobrze, czy mam czekać, czy poprostu zostawić kartę.

Po kwadransie prawie zjawił się w końcu u drzwi czek karety kamerdyner i wprowadził mnie na obszerny dziedziniec; tłómaczył się z powolności usługi, zapewniając mnie bez ceremonii, że w chwili, gdy przyjechałam, ludzie pracowali w ogrodzie, i że on sam był zajęty oczyszczaniem sadu.

Prowadzono mnie przez kilka salonów zupełnie pozbawionych mebli, a pokój, do którego mnie wprowadzono, wcale nie lepiej był przyozdobiony, jak poprzednie, ale przynajmniej stała tam kanapa i krzesła. Marszałkowa nie zwlekała ze zjawieniem się. Łatwo spostrzegłam, że ubrała się dla mnie, gdyż zapinała jeszcze kilka haftek stanika. Po kilku minutach ociężałej rozmowy zadzwoniła, aby uprzedzono jej męża. Później podjęliśmy naszą mozolną gawędę. Nie dlatego, aby pani Davout brakowało wprawy, lub była pozbawiona tego rodzaju dowcipu, który ułatwia sto-

sunki pomiędzy dwiema osobami z jednego świata, ale była w niej jakaś sztywność, którą można było wziąć za dumę. Nigdy nie zapomniała o *marszałkowstwie*; nigdy uprzejmy uśmiech nie ożywił rysów jej surowej twarzy. Była to zawsze homerowska Junona, albo raczej kobieta silna, która może śmiać się ze wszystkiego.

Marszałek przyszedł spocony, co świadczyło o jego pośpiechu; siadł cały zadyszany i trzymając swoją chustkę do nosa, żeby sobie obetrzeć czoło, musiał ją poślinić, aby tem pewniej zetrzeć kurz, którym była pokryta jego twarz. To zaniedbanie, cokolwiek żołnierskie, nie zgadzało się z wykrochmalonemi manierami jego małżonki; była tem widocznie dotknięta. Uważając się za zbytęcną w tej niemej scenie, podniosłam się i chciałam się pożegnać, ale poproszono mnie, abym została na śniadaniu. W oczekiwaniu na posiłek, przeszliśmy się po parku. Nie było tam ani jednej uliczki wygracowanej, trawniki były z bardzo wysokiego zielska, mogącego utworzyć stogi siana, drzewa, ścięte podczas rewolucyi, odrastały w kształcie krzaków, na każdym z krzewów zostawiałam strzępy moich falban, a moje liliowe cizemki przybrały zielonawą barwę. Marszałek dodawał nam odwagi, głosem i gestem przyrzekając cudowną niespodziankę!... Jaki był mój zawód, kiedy na skręćcie kępy młodych dębów znaleźliśmy się naprzeciwko trzech budek z łozy! Księżę uklęknął na jedno kolano i zawolał:

— Ach! oto one... oto one!...

Później zmieniając głos:

— Pi... pi... pi...

Natychmiast chmara kuropatewek zaczęła latać około głowy marszałka.

— Nie wypuszczajcie innych, aż wejdą najmłodsze i dajcie chleba tym paniom. Zabawią się, jak królowe,—powiedział do dryblasa, spełniającego funkcyę gajowego;—oto my pod piekącym słońcem karmimy kuropatewki!

Księżna z niewzruszonym spokojem i godnością opróżniła koszyk, który jej podano. Co do mnie, o mało co nie zemdlalam i nie mogąc już wytrzymać, zauważyłam, że niebo się chmurzy i że grozi nam burza.

Wracając do zamku, spostrzegłam mularzy, biełających jedną z wieżyczek, która aż dotąd uniknęła świętokradztwa odnawiania i miała jeszcze tę powłokę, jaką może nadać tylko czas. Nie mogłam się powstrzymać od wyrażenia pewnego rodzaju krytyki. Marszałkowa zrozumiała mnie; sądzę nawet, że jej spojrzenia i pogardliwy uśmiech odgadłam, gdy toczyła się sprzeczka w sprawie wieżyczki; mąż nie ukrywał, że moje uwagi nie przypadły mu do gustu. Powstał nawet bardzo *energicznie* przeciwko manii zachowywania starych murów.

Po skończonem śniadaniu wymknęłam się z największym pośpiechem, przyrzekając sobie po nicwczasie, że mnie już na to nikt nie weźmie.

W drodze rozmyślałam nad wszystkim, co widziałam i zawyrokowałam w duchu, że piękna Francya przedstawiała dziwne sprzeczności, że wielcy panowie z dawnych czasów byli śmieszni, nieuki, a dzisiejsi bohaterowie, opłaciwszy krwią wła-

sną swoje bogactwa, korzystali z nich w mizerny sposób.

W kilku słowach zdałam sprawę z 'mojej wizyty temu, co mi radził, abym jej nie opuściła. Prawie od dwóch tygodni przestał mnie odwiedzać; napisał do mnie, że z powodu choroby piersiowej zabroniono mu wychodzić. Spotykałam jednak często jego matkę, która nie wydawała mi się niespokojną.

Po pewnym czasie uczułam się zdrowym i oznajmił mi, że jego lekarz pozwolił mu wyjść na powietrze pod warunkiem, że wróci przed zachodem słońca. Było to dla mnie dosyć, ażebym odgadła, że przyjdzie w ciągu dnia. Oczekiwałam go i przyznaję, że po raz pierwszy powzięłam podejrzenie co do prawości jego postępowania ze mną. Wyobrażałam sobie, że przedstawiając się cierpiącym i smutnym, chciał rozbroić moją dumę i miałam się na baczności. O trzeciej przed bramą zatrzymał się kabriolet; na bieg konia zabiło mi serce.

Było to przy końcu maja, ale zrobiło mi się tak dotkliwie zimno, że kazałam rozpalić ogień; chcąc sobie dodać pewności, zaczęłam go poprawiać. Przyniósł sobie fotel i siadł koło mnie, nie przerywając milczenia. Podniosłam wówczas oczy i boleśnie mnie uderzyła zmiana, wywołana tą krótką chorobą. Jednakże zebrałam się na szorstkość, mówiąc mu:

— Więc pan rzeczywiście był chory?

— Nie — odrzekł — nie bardzo, a teraz jestem zdrów zupełnie.

Te parę słów, wyrzeczonych słabym głosem, zbu-

rzyło nagle gmach nieufności i surowość, jaki zbudowałam z wielkim trudem.

— Przepraszam!—powiedziałam—przepraszam!... Zapomnij pan o tem śmiesznem pytaniu. Odpowiedz na moje szczere zajęcie, na moją żywą przyjaźń, zapomnij o tem zdaniu banalnem i śmiesznem. Mów, dla Boga, o sobie... Co panu jest?

— Nic, rzeczywiście. Cierpiałem, ale to już przeszło. Ile razy doznam głębokich wzruszeń, pluję krwią, oto wszystko.

I stał nieruchomy, patrząc w ogień.

— Spodziewam się, że pan nie wątpił o mojem współczuciu?—odparłam—myślałam o panu więcej, niż sądzisz. Czując, że się rumienię, mimowolnym ruchem ukryłam twarz w dłoniach.

— Ach! niech mi pani tego nie mówi — zawołał—niech pani do mnie tak nie przemawia... Proszę mnie zawsze traktować, jak starego przyjaciela; żądałaś pani odemnie tylko tytułu.

Nie wiedziałam, co mam myśleć, byłam boleśnie dotkniętą i gubiłam się w domysłach.

Chcąc zapewne przerwać rozmowę, zarówno kłopotliwą dla nas obojga, wyjął zegarek i zwrócił uwagę na wskazówkę, która przeszła z trzeciej na czwartą godzinę.

— Niech pani popatrzy—rzekł—widzi pani, jak to prędko idzie! a przecież i życie biegnie tak samo; ci co cierpią, powinni być cierpliwymi. Przyrzekłem mojej matce, że wrócę o godzinie naznaczonej przez lekarza; chciała mi nawet nie pozwolić wyjść z powodu zimna, ale byłoby to zbyt wielkie wymaganie. Mam rozsądku więcej, niż przypuszczają — dodał

z melancholijnym uśmiechem — ale nie tyle, abym ciągle tylko myślał o sobie.

Wziął mnie za rękę, przycisnął ją do serca i gwałtownie się podniósł, nie pozwalając mi przyjść do słowa. Znalazłszy się przy drzwiach, rzekł:

— Niech pani będzie tak dobrą i przyjedzie jutro na śniadanie do mojej matki; będziemy mieli także Labédoyère'a, który wyjeżdża do Hiszpanii; bardzo pragnie widzieć panią, niech mu pani zrobi tę łaskę; jest tego godny, zapewniam.

Skinęłam głową, a on wyszedł, zostawiając mnie w nieokreślonym smutku, którego przyczyny nie mogłam sobie wytłómaczyć. Nic się nie zmieniło w naszych stosunkach; nie dowiedziałam się niczego, co by mogło mnie zasmucić. Dwa miesiące prawie upłynęło tak wśród duchowych radości i uroku uczucia pełnego tajemnicy, upiększającego najprostsze czynności mego życia. Ale pryzmat rozbił się!... Cemuż nie potrwał dłużej tak krótki przeciąg czasu, który pozostał w mych wspomnieniach jako najszczęśliwszy z mojego długiego życia? Niestety! miałam ponure przeczucie i coś mi mówiło, że dramat miał się rozpocząć.

Od tej pory, przyznaję, towarzystwo straciło dla mnie główny swój powab.

Bądźcobądź, ponieważ konwenanse wymagały, abym w niczem nie zmieniała trybu mego życia bez słusznej przyczyny, w dalszym ciągu bywałam w świecie, z przymusem poddawałam się rozrywkom i zabawom, chciałam się zagłuszyć.

Nazajutrz udałam się na śniadanie. Widziałam

młodego Labédoyère'a tak pięknego, tak dzielnego, tak szczęśliwego.

Pan F... był daleko mniej ponury, niż wczoraj; zauważyłam nawet, że silił się w obecności matki i swego przyjaciela na wesołość, która nie była mu zwyczajną, i wywnioskowałam, że zachował swoją tajemnicę. Kiedy zakaszłał, matka wyrzucała mu, że wyszedł wczoraj.

— Niestety!—rzekł—jestem za to zbyt ukarany, ponieważ doktor skazał mnie na tydzień więzienia. Ale kiedy pozwolą mi wyjść, zawiozę naszych znakomitych podróżnych do Malmaison.

Pod tem szumnem mianem rozumiał księżnę kurlandzką i mnie. Księżna była wdową po ostatnim z książąt i po śmierci swego małżonka utraciła swe stanowisko. Rosya pozostawiła jej tytuł i olbrzymią fortunę, którą książę zawarował swej żonie kontraktem ślubnym. Przyjechała do Warszawy nie wiem już z jakiego powodu i została świetnie przyjęta przez Stanisława Augusta, wówczas króla. Księżna obchodziła się ze mną życzliwie ze względu na wspomnienie księcia, który ją ugościł tak wytwornie; towarzyszyłam jej na dwór i uroczystości oficjalne. To mnie zachwyciło, że jej ekwipaż nie trzymał się przepisanej kolei. W czasie, o którym mówię, księżna schodziła z pola, ale zachowała ostatki piękności, zapewniające jej spóźnione powodzenia. Jej książęca fortuna pozwalała jej utrzymywać dom na wielkiej stopie; wszyscy ubiegali się o zaszczyt jej znajomości. Talleyrand, który nie był nieczuły na wdzięki tej kobiety, umieścił ją pomiędzy zaufanymi pierwszego rzędu pani Laval, a w tym

salonie przyjętem było zachwycać się wszystkim, co zrobiła księżna—zachwycano się przedewszystkiem jej wykwiutnemi toaletami i jej brylantami. Widywam ją często, jak przyjeżdżała o północy, przychodziła pokazać swoją balową toaletę i nowy klejnot, tak jakby to była dwudziestoletnia kobieta. Jej stary wielbiciel czekał na nią zawsze i przyglądał się jej z zachwytem, co mogło doprowadzić do śmiertelnej zardrości cały jego seraj, do którego należała moja ciotka, Tyszkiewiczowa.

VII.

Przechadzki po Paryżu.

Hrabina Mniszchowa. — Pasaż panoram. — Królowa Polski. — Wizyty w pracowniach malarzy. — David. — Girodet. — Gérard. — Autorki *Pamiętników*. — Ksiądz Morellet. — Panna Lenormand. — Pani Souza i mała wróżka. — U pitonissy. — Burzliwa młodość. — Przepowiednia urodzin hrabiego Maurycego Potockiego.

Miałam jeszcze drugą ciotkę w Paryżu: hrabinę Miniszchową¹⁾, stryjeczną siostrę mojej matki i siostrzenicę ostatniego z naszych królów. Zajmowała ona znaczną część mojego czasu. Bardzo dobra osoba, ale niezbyt inteligentna i od dzieciństwa próżna, czuła się w prawie wymagania przywilejów *księżniczek krwi* i z tego powodu miała wiele przykrych zajęć. Ani smutny koniec króla Polski, ani podział naszego nieszczęśliwego kraju, nie mógł wyleczyć jej z tej pretensyi. Cesarzowa rosyjska w czasie, kiedy obdarzała swemi względami Polaków, przysłała jej wstęgę świętej Katarzyny. Ciotka moja

¹⁾ Z domu Zamoyńska, była córką Ludwiki, starszej siostry króla Stanisława Augusta.

nosila gwiazdę od niej przy wszystkich sposobnościach, tak, że w Wiedniu przezwano ją *Hrabinią z Gwiazdą*. Wystarczało jej za pomocą przepychu podtrzymywać blask urodzenia. W Paryżu na usługach jej był marszałek dworu nieszczęsnej księżniczki de Lamballe. Sekretarz jej, pan de Ville, był to jeden z dawnych panów, którego stosunki, zarówno niezaprzeczalne, jak zapomniane, miały używać, jak sądziła, wiele świetności jej domowi. Wydawała pyszne kolacje, bardzo nudne, ale wspaniałe, na które zapraszała nic nieznaczących wielkich panów i nieznanych literatów. Dlatego też wymykano się, jak tylko na to pozwalała przyzwoitość, co jej wcale nie dogadzało, gdyż mniemała, że obowiązkiem jej jest podtrzymywać rozmowę. Nie wiedząc dobrze, jak się do tego wziąć, poleciła, żeby nie zdejmowano obrusa.

— Najbardziej ożywione rozmowy—mówiła— prowadzi się przy nakrytym stole.

Dwa lata spędziła we Francyi i zamyślała o wyjeździe; chciała więc przed opuszczeniem swego wybranego kraju zwiedzić wszystko, co jej wskazano jako rzecz godną widzenia.

Otworzono właśnie pasaż Panoram. Należało do dobrego tonu robić tam sprawunki. Ciotka moja zaprowadziła tam swoje córki—a najmłodsza i najdowcipniejsza z córek księcia Ligne (księżniczka Flora) towarzyszyła nam. Orszak nasz był świetny i liczny. Miałyśmy dwóch lokajów w liberyi szkarłatnej, z galonami na wszystkich szwach, murzyna i strzelca. Zatrzymywano się na ulicach, aby się nam przypatrzeć.

Szlachetny sekretarz jechał za nami w małym powoziku, zaopatrzony w woreczek dobrze napelniony. Kiedyśmy tylko wysiadły, otoczyła nas chmara uliczników; przy każdym sklepie, do którego wchodziliśmy, tłum stawał się gęstszy, wchodzono na balustrady magazynów, aby nas lepiej widzieć. Moja biedna ciotka, zelektryzowana wrażeniem, jakie miała, że wywiera, podwoiła wybryki, kazała odkładać na stronę najnowsze i najdroższe rzeczy, zalecając panu Ville *bardzo głośno*, żeby się nie *targował*, gdyż ten *gminny* zwyczaj był dla niej wstrętnym. Zwracając się tak do księżniczki Flory, jak i do mnie i do córek swych, błagała nas o wybranie sobie tego, coby mogło zrobić nam przyjemność i obsypywała nas podarunkami.

Nie trzeba było nawet tyle, aby wzbudzić ciekawość gapiów; wkrótce ulicznicy ustąpili miejsca próżniaczym paryżanom, krążącym bezustannie, ażeby nie wymknęło się im nic, coby mogło być opowiedziane w jakim dzienniku.

Nie obliczywszy się ze skutkiem nierozważnego słowa, księżniczka Flora powiedziała do jednego ciekawskiego, zagląającego przez ramię:

— Czy wiecie, kto jest ta pani?... *To królowa polska.*

Słowo to natychmiast pobiegło z ust do ust; przeskakują kontuar sklepu, otaczają nas, duszą; powstaje nieopisane zamieszanie, a ucieczka jest niemożliwa. Na szczęście, poczciwy kupiec spostrzegłszy bezskuteczność wysilków, jakie robiła nasza służba, aby utorować nam przejście, otworzył ukryte drzwiczki i tym sposobem dał nam możliwość wy-

mknięcia się. A moja ciotka, nie wiedząc o figlu, wyplatanym przez księżniczkę Flore, powtarzała bezustannie, że *niektóre osoby nie mogą bezkarnie ukazywać się publicznie.*

Postanowiwszy obejrzeć wszystko, obeszliśmy pracownie. Malarze rodzajowi wydali mi się bardzo miłymi. Szczegóły ich obrazów były bardzo powabne, lecz teść mój nauczył mnie zachwycać się tylko szkołą włoską i zdziwiłam się, że mając przed oczyma najpiękniejsze wzory, malarze szkoły francuskiej zrobili tak małe postępy, nawet, rzecz można, nie zrobili ich wcale; w najnowszych utworach nie można było spostrzedz nic wielkiego, nic szlachetnego, nic śmiałego. Młodzi malarze byli rzeczywiście mniej zmanierowani od Boucher'ów ¹⁾ i Vanloo'ów ²⁾, ale nie zmierzali ani do poprawności Lesueur'a ³⁾, ani do śmiałości Poussin'a ⁴⁾, ani do kolorytu Lebrun'a ⁵⁾, możnaby pomyśleć, że geniusz wyszedł z mody!

1) Franciszek Boucher, ur. 1704, zm. 1770 r., zwany „malarzem Gracyj“, niewyczerpany w przedstawianiu zmysłowo-zalotnych obrazów.

2) Jest to nazwisko licznej rodziny malarzów holenderskich, z których najgłośniejsi: Jan Chrzciciel i Karol Andrzej.

3) Piotr Lesueur, ur. 1636, zm. 1716 r., znakomity drzeworytnik francuski.

4) Mikołaj Poussin, ur. 1594, zm. 1665, był jednym z najznakomitszych francuskich malarzy historycznych i pejzażyistów; odznaczał się wykończoną techniką.

5) Karol Lebrun, ur. w Paryżu 1619, zm. 1690 r. Odznaczał się bogactwem wyobraźni i wielką umiejętnością układu.

Szkoła nowocześniejsza okazywała jakby pogardę dla tych wielkich mistrzów. Jeden tylko David¹⁾ był klasykiem; bądźco bądź, jego trupi koloryt przynosił ujmę dokładności rysunku, obrazy wyglądały na płaskorzeźby. Obraz, który, według mego zdania, zapewnia David'owi nieśmiertelność, jest historycznym portretem Napoleona, wdzierającego się na górę Świętego Bernarda na czele swego wojska, które widać w wąwozie. *Siedzi on spokojnie na ognistym koniu*²⁾.

Girodet powinien być umrzeć, skończywszy „Dydone”; żadne z jego dzieł nie jest warte tego małego obrazka. Co prawda, Eneasza jest trochę drewniany, brak mu życia, ale na drugi schodzi on plan, tak przyciąga grupa dwóch kobiet.

Gérard³⁾ zrobił kilka pięknych portretów — cełuje w tym rodzaju. Ale daje się pociągnąć chęci malowania zbyt wielu szczegółów, za dużo poświęca dla przypodobania się chwilowemu smakowi i zbyt starannie maluje szale kaszmirowe i ażurowe pończochy. Suknie dworskie, bogato haftowane i ubrane koronkami, włosy w grajcarek i krótkie stany sprawiają, że jego dzieła wyjdą z mody. Zręczny malarz

1) Jakób Ludwik David, ur. 1746, zm. 1825 r. Malarz, stanowiący epokę w rozwoju malarstwa francuskiego, do którego wprowadził wysoki nastrój, powagę i siłę.

2) Ten wspaniały portret, porwany przez Blücher'a, znajduje się teraz w Jablonnie. (Przypisek autorki.)

3) Franciszek Gérard, ur. w Rzymie 1777, zm. w Paryżu 1824 r., znakomity malarz historyczny, naśladowca David'a. Najznakomitsze są jednak jego portrety.

powinien tak robić, żeby jego portrety były obrazami.

Byłam bardzo zdziwiona widząc, że pracownie tych panów przepelnione są rozpoczętymi płótnami, znając olbrzymie ceny, jakie malarze tej epoki nakładali na swoje dzieła. Były to prawie wszystko szkice, kreślone z natury, przedstawiające rodzinę cesarską lub bogatych cudzoziemców; Francuzi nie pozwalali sobie zupełnie na te drogie przyjemności.

Młode kobiety, opowiadające swoją podróż, czują się prawie wszystkie w obowiązku poświęcić jeden lub dwa rozdziały *głębokim rozmyślaniom* nad postępami cywilizacyi, nauk etc. Po większej części dysertacye te są ściągnięte z jakichś zapomnianych książek, albo są ułożone przez jakiegoś *uczonego* lub *przyjaciela*. Czasami zwracają się do nieznanego pisarza, którzy dają wypracowania po tyle a po tyle za stronicę. Co do mnie, postanowiwszy być szczerą w całym znaczeniu tego słowa, muszę przyznać, że nie szukałam literatów. Aby ocenić ich według istotnej ich wartości, wystarcza sądzić o nich z tego, co wydają na widok publiczny. Jedna wizyta wydawała mi się zawsze zarówno niepotrzebną, jak i niestosowną. Nie należy chodzić oglądać uczonego, jak *osobliwość*. Ten powierzchowny zwyczaj wyproszenia sobie zdania prawie zawsze ma za побudkę głupią próżność. Wróciwszy do siebie, osoba ta pisze:

„Taki to pan, znany dobrze ze swoich znakomych dzieł, przyjął mnie w sposób najbardziej zachwycający; rozmawialiśmy przeszło godzinę; był *zdziwiony* łatwością, z jaką wyrażałam się jego ję-

zykiem i poradził mi spisywać swoje wspomnienia. Jest to człowiek rzadkich zasług; ma wiele dowcipu etc., jednym słowem, jest to jeden z tych uczonych, których spotyka się tylko we Francyi i pomiędzy Francuzami; gdzieindziej trzeba skupować naukę za cenę nudów etc. etc."

To mnie zdziwiło, że w towarzystwie rzadko spotykało się sławy najświeższe. Za takiego władcy *nivelatora*, jakim był Napoleon, który pragnął, aby wszelka zasługa miała prawo do zaszczytów, powinoby się było spotykać w salonach więcej artystów i literatów.

U pani Scuza widywałam zawsze tylko księdza Morellet¹⁾. To on, o ile mi się zdaje, ocalił się podczas Rewolucyi 1799 od powieszenia na latarni dowcipem: „Czy będzie wam przez to widniej?” W bardzo podeszłym już wieku, niewiele mówił i przychodził na obiad jedynie, ażeby zaspokoić okrutny apetyt; po obiedzie odbywał siestę. Chrapał przez dobrą godzinę i w końcu budził się; wówczas proszono mnie o odwiezienie go aż do bramy; wywiązywałam się z tej misyi chętnie, gdyż mieszkał w mojem sąsiedztwie. Zachowywaliśmy zazwyczaj najgłębsze milczenie, ale w chwili, kiedy lokaj mój otwierał drzwiczki, ksiądz poczuwał się do obowiązku podziękowania i już ze stopni swego powozu zwracał się i mówił swoim nosowym głosem:

— Dziękuję, moja miła i piękna pani!

A ja mu życzyłam dobrej nocy.

¹⁾ Ksiądz Morellet, przezwany przez *Voltera Morel-les*, jeden z najradykalniejszych pisarzy XVIII w., ur. 1727—1819 r.

Na tych obiadach, gdzie rozmawiano wesoło o wszystkim, ktoś zaczął mówić o pannie Lenormand—z powodu przepowiedni, zrobionej cesarzowej Józefinie, przepowiedni, której *polowa* już się spełniła.

Wyraziłam wielką chęć zobaczenia tej sławnej Sybilli, ale mnie zniechęcono, zapewniając, że wyrocznie mierzyła umówioną zapłatą i że przyszłość tak otaksowaną sprzedawała po dwanaście do trzydziestu sześciu franków. Złudzenie nie mogło się oprzeć tej prozie.

Pani Souza, która nie zapierała się, że jest bardzo przesadna, opowiedziała nam, iż zna wróżbiarkę znacznie lepszą od panny Lenormand; jak mówiła, przepowiedziała jej ona nadzwyczajne rzeczy.

— Gdybym *nie bała* się powtórzyć ich—dodała pani Souza — bylibyście ogromnie zdumieni, tak dalece są one nieprawdopodobne.

Jeden ze współbiesiadników ośmielił się zapytać, czy ta wróżbiarka nie oznajmiła upadku cesarstwa? Pani Souza potrząsnęła tylko głową i nie chciała nic powiedzieć.

Ażeby przerwać te niedyskretne pytania, zaproponowała mi, że mnie zaprowadzi do kabalarki. Zgodziłam się chętnie i na trzeci dzień wprowadziłyśmy w czyn ten projekt. Nie przypominam już sobie, gdzie mieszkała ta kobieta. Poszłyśmy pieszo, o zmroku, dobrze zakutane, dobrze przebrane. Moja przewodniczka przebyła pierwsza z rzadką nieustraszonnością cztery piętra straszliwie stromych schodów. Szłam za nią, trochę zawstydzona.

Na hałas, sprawiony przez nas, wyszła kobiet-

ka jeszcze dość młoda i zapytała, czego sobie życzymy.

— To ja—rzekła moja towarzyszka—przyrowadzam pani jedną z moich krewnych, która przybywa z prowincyi i pragnie dowiedzieć się, jaki los czeka ją w Paryżu.

Kobietka zdawała się namyślać, a nie mogąc poznać pani Souza, wytłómaczyła się z tego tak:

— Przychodzi do mnie tyle osób — powiedziała — nic zatem dziwnego, iż twarze mieszają mi się, tembardziej, że ponieważ nikt nie wymienia swego nazwiska, nic nie dopomaga mojej pamięci.

Zachwycone tym dyskretnym początkiem, rzekłyśmy, że wolno zapominać o przeszłości, kiedy ma się dar czytania w przyszłości. Nie zdawało się, aby komplement ten pochlebił jej, sądzę nawet, że go nie zrozumiała, będąc bardzo prostą tak umysłem, jak i wyrażaniem się.

Moja towarzyszka, chcąc dodać mi odwagi, pierwsza zabrała miejsce przy czarodziejskim stole, prosząc o karty, a nie o fusy z kawy. Nie rozumiem, z jakiego powodu mała wróżka zabawiała się *przeszłością*, zamiast zająć się przyszłością. Dowiedziałam się *potem*, że pani Souza miała burzliwą młodość—była bardzo czarująca i nie zawsze okazywała się obojętną na hołdy, składane jej dowcipowi. Przeszłość stawała się niebezpieczną, trzeba było przerywać niedyskretnie odkrycia.

— Ma pani jednego tylko syna, a syn ten, czule kochany, będzie narażony na wielkie niebezpieczeństwo — powiedziała Sybilla do mojej towarzyszki.

Biedna matka nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia.

„Niech się pani uspokoi — dodała kobieta — jest ocalony! Moznaby powiedzieć, że niebo uczyniło cud! Gwiazda jego należy do najszcześniejszych. Mogę twierdzić, że niebezpieczeństwo, na jakie w tej chwili był wystawiony, nie pochodziło z przyczyny *ludzkiej*: walczył przeciwko żywiołom; nie potrafiłabym dokładnie oznaczyć, czy to jest woda, czy ogień, ponieważ karty moje nic dość pewnego nie mówią mi w tym względzie, ale niech pani będzie spokojna, dowiesz się przez wdowę jednego ze swoich przyjaciół o szczegółach tej przygody, w której syn twój nie sam był zagrożony.

Spoglądałyśmy na siebie w milczeniu. Nie chcąc nic więcej wiedzieć, towarzyska moja zmusiła mnie do zajęcia swego miejsca. Nie mogę się pochwalić, ażebym nie była wystraszona, ale powzięłam szybko postanowienie i zdecydowana nie odmawiać sobie niczego, poprosiłam i o karty i o fusy, ciągle sobie powtarzając, że trzeba będzie wypowiadać się z tego przestępstwa względem przykazań kościelnych.

Przeszłość moja składała się jeszcze z tak niewielu faktów. Życie moje było spokojne i ciche, wypełniały je obowiązki i uczucia, nad którymi zbie. rała się burza wprawdzie, ale i ta ominęła mnie następnie. Dwóje moich zachwycających dzieci zatem stało na pierwszym planie tego rodzinnego obrazu. Postawiłam za warunek, ażeby nie mówiono mi, jak długo będzie trwało życie drogich mi osób. Po długim namyśle i kombinowa-

niu fusów z kartami mała wróżka zapewniła mnie, że los moich dzieci podobny będzie do mojego. W jej słowach jednak zauważyłam jakiś odcień wahania, który mnie przeraził. Trzeba wielkiego zuchwalstwa, aby nie obawiać się podniesienia dobroczynnej zasłony, kryjącej przed nami przyszłość; niestety! aż radość się dobrze przekonałam, jak wiele obawiać się miałam w przyszłości ¹⁾.

Kobieta spostrzegła zapewne strach, jaki mną oświadczył, gdyż powiedziała mi:

— Nie mówmy o dzieciach, jakie pani ma; los ich, powtarzam, nic nie zawiera nadzwyczajnego, ale po powrocie do kraju, wydasz na świat syna, o którym będą mówili. Nie wiem właściwie, z kąd pani przyjeżdża, ani jaka jest twoja ojczyzna, ale najpewniej jest pani z *miejsca*, gdzie nigdy nie jest się spokojnym, a w moich kartach widzę wojnę i krew. Otóż syn ten, który przyjdzie na świat pod najszczęśliwszą z gwiazd, będzie dowódcą potężnego stronnictwa, może nawet zostanie królem.

Zacęłam się śmiać i spojrzałam na panią Souza; myślałam, że to ona przygotowała tę mistyfikację i podyktowała wszystkie te głupstwa. Ale ona przysięgła mi, że od wielu lat noga jej nie powstała w tym domu. Kobiętka, domyślając się moich podejrzeń, wydała się niemi dotkniętą i aby dodać swoim przepowiedniom więcej wagi, przedstawiła mniemane próby, za pomocą których mogłabym się upewnić o prawdziwości jej wróżb.

¹⁾ Jest to aluzja do przedwczesnej śmierci Natalii Potockiej, księżnej Sanguszkowej.

— W kilka miesięcy po powrocie do kraju zostanie pani brzemienną i na krótko przed słabością zdarzy się pani wypadek, którym nie należy się jednak niepokoić; dziecko pani przyjdzie w czasie oznaczonym, urodzi się *w czepku*, będzie piękne, silne i będzie miało znak bardzo widoczny na lewym boku. Nadto, mogę panią zapewnić, że będzie obdarzone tem, co nazywamy *miłością ludzi*; wszędzie, w każdym wieku, będzie kochane zarówno przez starych, jak i przez młodych, biednych, jak i bogatych, przez mężczyzn tyle prawie, co przez kobiety; urok jego będzie nieprzeparty i będzie zależał głównie od jego dobrego charakteru.

Te słowa wyryły się w mojej pamięci i mogę zapewnić, że wszystkie przepowiednie sprawdziły się. W czasie mej ciąży miałam lekki wypadek; dziecko urodziło się zupełnie zdrowe, *w czepku*, a znamię zapowiedziane, podobne do maliny, bardzo jest widoczne.

Gdybym była rozmyślała nad tą przepowiednią, mogłabym przypuścić, że wyobraźnia podziałała na naturę, ale wyjechawszy z Paryża, nie myślałam już o tem wcale. Miałam inne radości i inne troski. Dopiero w chwili, gdy syn mój przyszedł na świat, wszystkie te słowa małej wróżki stanęły mi w pamięci.

VIII.

Malmaison. — Wyznanie.

Józefina. — Sypialnia Napoleona. — Smak Józefiny. — Galerya obrazów. — Ogrody i cieplarnie. — Zaproszenie cesarza. — Rozmowa Napoleona z ministrem wojny — List Karola F... — Wyjaśnienie. — Mitość oficera. — Nieznajoma.

Wkrótce po tej wyprawie przyjechaliśmy zwiedzić Malmaison, które opuściła Józefina, udając się do Szwajcaryi. Ponieważ cesarz często składał wizyty ex-monarchini, Marya Ludwika obraziła się, postanowiono więc, żeby Józefina natychmiast się oddaliła. Pragnęłam być jej przedstawioną, ale nie przyjmowała obcych; ukazywała się tym tylko, którzy przez swoje stałe przywiązanie okazali się godnymi jej zaufania i życzliwości. To biedne, zbolale serce zamykało się w sobie; o ile Józefina lubiła dawniej świat, o tyle teraz szukała samotności. Przynajmniej w Malmaison nie prześladowała jej niedyskretna ciekawość; zapewniano, że dużo płakała i bynajmniej nie starała się ukrywać swego smutku. Będąc głęboko przywiązaną do Napoleona, daleko więcej żał jej było jego samego, niż świetnego stanowiska, którego ją pozbawiono.

Pokazano nam Malmaison od dołu do góry. Nie potrafiłabym wypowiedzieć, z jakim zajęciem i z jaką chciwą ciekawością oglądaliśmy te miejsca, będące świadkami najważniejszych wypadków

Tyle miłości i tyle sławy! Bajeczne sprawozdania, niezliczone tryumfy, upojenia, jakim równych nie było! Cały dramat życia bohatera rozwinął się tam w ciągu lat dziesięciu ¹⁾, a te drgające jeszcze wspomnienia nadawały terażniejszości jakby odblask minionych czasów.

Sypialnia Napoleona, ta, w której jako pierwszy konsul marzył już o sobie jako o cesarzu, o panowaniu nad światem i w której następnie, jako już monarcha absolutny, kołysany chwałą, szukał spoczynku, jest jeszcze teraz taką samą, jaką opuścił, aby już do niej nie wrócić! Józefina zabroniła tam wchodzić ciekawym. I tylko przy pomocy złota i upornych nalegań pokazano ją nam.

Gdyby kiedyś *świętokradzka moda* ośmieliła się zmienić urządzenie tego pokoju, byłby to jeden z tych występków, któreby potomność miała prawo wyrzucać narodowi, że temu nie zapobiegł. Malmaison powinna być stać się własnością narodową.

Pominąwszy już zajęcie, jakie obudzają zawsze najdrobniejsze szczegóły z życia wielkiego człowieka, pokój ten sam przez się był jednym z najpiękniejszych, jakie można było widzieć. Rzeźbione łoże ma formę starożytną, prostą i bez zarzutu; stoi ono na wzniesieniu, pokrytem olbrzymią skórą tygrysią nadzwyczajnej piękności. Wspaniały namiot, zastępujący

¹⁾ Malmaison nabyła Józefina w roku 1798.

franki, podtrzymują trofea wojenne, z których każde przypomina jakieś zwycięstwo lub jakiś podbój. Nie są to nic nie znaczące oznaki wojskowe, ani bogate ozdoby; to jakby żywa kronika, opowiadająca o wielkich czynach żołnierskich i chwale wojownika, którego były zdobyczą.

Wszystko, co przemawia do wyobraźni, mimowoli wywołuje szacunek i skupienie ducha. Przez cały czas, kiedyśmy rozglądali się w szczegółach tej komnaty odtąd historycznej, milczenie było przerywane tylko głosem kustosza, do którego od czasu do czasu zwracaliśmy się cicho z pytaniami; możnaby było pomyśleć, że pan świata mógłby nas usłyszeć.

Apartament Józefiny niczem nie zwracał na siebie uwagi, chyba brakiem smaku, gustu i harmonii, jaki w nim się rozpościerał. Urządzenie jest złożone z wszelkich barw i wszelkich stylów; — jest to kupa cacek, gdzie nie dostrzega się ani wytwornej prostoty, ani artystycznego zmysłu — niema wcale wspomnień, wszystko tam jest wczorajsze. Moda, tak potężna w Paryżu, panuje tu wszechwładnie. Nie mogłam obronić się uczuciu próżności, porównywając apartament Józefiny z tym, który urządziłam w Napolinie.

Jedna tylko galeria obrazów nie podlega najmniejszej krytyce. Łatwo odgaduje się, że kierował nią artysta, pełen smaku i zręczności. Szkoła flamandzka znacznie przewyższa tu szkołę włoską. Nie chcąc pozwolić sobie na jeden z tych uciążliwych opisów, co nudzą nieświadomych, a nigdy nie zadowolają znawców, poprzestanę na zanotowaniu, że galeria ta mieści najpiękniejsze obrazy Klaudyusza

Lorrain ¹⁾, wspaniałego Ruysdaël'a ²⁾, wiele płócien Pawła Pottera ³⁾ i mnóstwo zachwycających Wouverman'ów ⁴⁾).

Co do architektury domu, jest ona nietylko błędną, ale pospolitą. Korpus gmachu, zgnieciony i niski pod dachem ze stryszkami, okna wąskie i małe, drzwi wątle, trochę niezgrabnych ozdób — słowem, lichota bez prostoty i pretensye bez wielkości.

Ogrody, a głównie cieplarnie nie są zachwycające. Tyle jest rzadkich roślin ze wszystkich części świata, iż możnaby pomyśleć, że się jest pod zwrotnikiem.

Kiedy się w przybliżeniu obliczy olbrzymie koszty założenia i utrzymania tych ogrodów, nie można już wątpić, że nad wszelki zbytek, jakim się otaczała Józefina w ciągu lat dziesięciu, krzewiła zbytek w roślinach i kwiatach. Nie zaniedbywała elegancyi i toalet, ale istotną namiętnością cesarzowej było zamiłowanie do parku i cieplarni. Ileż czaru musiał dodawać ten zakątek, załotnie ustrojony, zabawom i romansowym intrygom świetnego i lekkomyślnego dworu!...

¹⁾ Klaudyusz Lorrain (właściwie Gelée), jeden z najznakomitszych pejzażystów francuskich, ur. 1600, zm. 1662 r., przewany został „Lorrain“, ponieważ był rodem z Lotaryngii.

²⁾ Jakób Ruysdaël, największy pejzażysta holenderski, zachwycający nieopisaną tęsknotą i głębią nastroju, ur. 1635, zm. 1681 roku.

³⁾ Paweł Potter, holenderski malarz zwierząt, zwłaszcza wołów i krów, ur. 1625, zm. 1654 r.

⁴⁾ Filip Wouverman, najznakomitszy malarz koni, ur. 1620, zm. 1668 r. Większa część tych obrazów znajduje się teraz w pinakotece monachijskiej.

Powróciwszy do siebie, znalazłam zaproszenie, które mnie równie zdziwiło, jak mi pochlebilo. Był to list od szambelana dworu, oznajmiający, że został mi udzielony zaszczyt obiadowania w Saint-Cloud z ich cesarskimi gośćmi o godzinie szóstej; była dziesiąta¹⁾. Nic nie było rzadszego, jak taka łaska, szczególnie zaś względem cudzoziemki. Cesarz po ożenieniu się trzymał się dawnej etykiety dworu francuskiego i obiadował tylko w kółku rodzinnem. Przyrzekłam sobie, że nie pozwolę, ażeby me żale pozostały nieznanne. Na szczęście, bal w ministeryum wojny, na którym musiał być obecny cesarz, dawał mi sposobność do *wytlómaczenia się*. Spodziewałam się, że Napoleon, według swego zwyczaju, raczy przemówić do mnie kilka słów. Postarałam się więc pojechać wcześniej na tę zabawę, ażeby dobrze się ulokować. Chcąc być pewną zwrócenia na siebie uwagi cesarza, postarałam się o ubranie we wszystkie moje brylanty i o toaletę bardziej jaskrawą, niż te, jakich dotąd używałam, może być dlatego, żeby się wyróżnić. Jak przypuszczałam, cesarz, spostrzegłszy mnie, zwrócił się w moją stronę, przybierając nadąsaną minę.

— Ach! pani hrabina — rzekł — wróciłaś pani wczoraj do siebie zapewne bardzo późno; spodziewaliśmy się pani i miejsce jej zostało niezajęte!

Ośmielona tem uprzejmem przyjęciem, próbowałam wyrazić żal, jakiego doznałam, otrzymawszy

¹⁾ List ten znajduje się w moim okrągłym pugilaresie; zachowałem go, jak również wiele innych papierów; wszystkie pochodzą z tych ciekawych czasów. (Przypisek autorki.)

list, który mnie objaśnił o tem, czego pozbawiła mnie moja nieobecność. Ponieważ słuchał mnie z uśmiechem, dodałam, że lepiej byłoby, gdybym nie była przyjeżdżała do Paryża....

Pozwolił mi mówić, bawił się mojem zmartwie-
niem i wreszcie pocieszył mnie, mówiąc z zachwyca-
jącą dobroduszością, iż znam zapewne stare przy-
słowie: że *co się odwlecze, to nie uciecze* i, że na dru-
gi raz *zawczasu się to wrządzi*.

Rozmowa ta, dosyć długa, aby obudzić zazdrość,
wywołała najniestosowniejsze gadaniny. Niejedna ko-
bieta zazdrościła mi tego, co nazywano mojem *sta-
nowiskiem*, i wiele potajemnie ubiegało się o łaskę,
którą niby to pogardzały.

Przez kilka następnych dni otrzymałam mnóstwo wizyt; wiele osób, co przedtem nie myślało zro-
bić mi tej grzeczności, złożyło u mnie swoje karty,
i powiedziałam sobie, że pod względem nikczemno-
ści wszystkie dwory są sobie podobne, tak najnow-
sze, jak i najstarożytniejsze. Jakże dalecy byli od od-
gadnięcia tego, co mnie zajmowało! Wyjechawszy
z balu, nie pomyślałam już o tem drobnem zdarze-
niu próżności.

Od czasu swego wyzdrowienia Karol nie od-
wiedzał mnie już tak często; wybierał godziny, kiedy
przyjmowałam ludzi obojętnych, będąc pewnym, że
nie zastanie mnie samą. Był wszakże bardzo dokład-
nie powiadomiony o tem, co robiłam, i nie przestawał
kierować memi krokami. Oto bilet, który mi przysłał
nazajutrz po wspaniałym balu w ministerjum wojny,
o którym wszystkie dzienniki ówczesne przechowały
wspomnienie.

„Co robiła pani wczoraj wieczorem? Spodziewałem się spotkać panią u księżnej L... Powinna była pani tam pójść; dlaczego pani nie przyszła? Nie ośmieliłem się zjawić u pani, obawiając się, że już jest za późno, albo, jeżeli mam być szczerym, lękając się znaleźć panią samą, powstrzymałem się od tego. Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie jutro rano do Gérard'a? Wszyscy tam jada, aby zobaczyć portret pani Walewskiej. Tak tylko chcę panią widywać. Jakkolwiekbym wydał się pani dziwaczny, proszę mi nie odbierać ani swej ufności, ani swej przyjaźni. Niech mnie pani znosi, niech mnie pani żałuje. Gdybyś mogła odgadnąć, jak dalece jestem nieszczęśliwy, zrozumiałabyś, że więcej niż kiedykolwiek potrzebuję twej pobłażliwej przyjaźni i że jestem godny szacunku.“

Są chwile w życiu, kiedy jedno słowo stanowi o przyszłości. Te kilka wierszy wywołały wyjaśnienie, którego oboje lękaliśmy się i unikali.

Pan F... okazywał mi ciągle tę samą uprzejmość, co dawniej. Gdyby był wyszukiwał różnych sposobności widzenia mnie samą, gdybym wreszcie przypuszczała, że powinnam mieć się na baczności względem jego zamiarów, zachowałabym ostrożność i co do niego i co do siebie. Ale ta stałość w unikaniu mnie, ten niezwykły smutek, którego przyczyny nie znałam, tajemniczość, jaką okrywał swoje uczucia, a nadewszystko rozsądek, kierujący wszystkimi jego krokami, wzruszyły mnie bardziej jeszcze niż jego dawniejsze nadskakiwania. Po raz pierwszy ośmieliłam się przyznać, że go kocham i pozwoliłam mu to odgadnąć. Niepodobna mi dziś przypomnieć sobie, jakich słów użyłam, ale w odpowie-

dzi mojej był zapewne taki wyraz prawdy, wzruszenie tak żywe, żal tak przejmujący, że może za wiele powiedziałam, iż Karol nie mógł omylić się co do moich uczuć, a doskonała pewność, jaką miał co do prawości mego charakteru, posłużyła mi lepiej, niż wszelka sztuka, jakaby kokietka mogła rozwinąć przy takiej sposobności. W pół godziny otrzymałam następujący bilet:

„Dlaczego pani napisała do mnie? Dokonała pani tego, że jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Muszę koniecznie pomówić z panią, proszę przyjąć mnie dzisiaj samego wieczorem.“

Byłam zgnębiona. Jedyne myśli o jego szczęściu mogła górować na chwilę nad niewzruszonością moich zasad i stałam postanowieniem, żeby nigdy nie uchybić swoim obowiązkom. Jak tylko osiągnęłam pewność o nieużyteczności tak wielkiego poświęcenia, opanowała mnie szczerą rozpacz.

Kiedy wieczorem oznajmiono mi Karola, zastał mnie jeszcze na tem samem miejscu, na którem otrzymałam jego odpowiedź, tak dalece pochłoniętą swemi myślami, że przestraszył się moją nieruchomością. Siedząc przed biurkiem, machinalnie wzięłam scyzoryk i bezmyślnie cięłam rękawiczkę. Kropelka krwi wyrwała mnie z zamyślenia i obudziła strach w tem sercu, tak oswojonem z niebezpieczeństwem.

— Co pani robi?—zawołał—wyrrywając mi scyzoryk.— Na Boga, proszę mię wysłuchać. Miej pani litość nad moim stanem. Przyszła chwila, kiedy honor nakazuje wypełnić mi straszny obowiązek nieukrywania niczego przed panią. Kiedy ujrzałem panią w Polsce, pokochałem ją gorąco i z poświęce-

niem. Aż do tego czasu byłem bardzo lekkomyślny; pani przeznaczono było dokonać we mnie zupełnej zmiany. Często dziwiłem się rodzajowi kultu, jakim mnie pani natchnęłaś, mnie, co tak mało jestem lękliwy wobec kobiet... Nie śmiałem się zdradzić przed panią ze swoją miłością! Byłaś pani otoczona taką aureolą czystości i prawości, widziałem cię tak wyłącznie zajętą swoim dzieckiem i tak oddaną swoim obowiązkom, że wydawało mi się niemożliwym i, że tak powiem, występne starać się sprowadzić cię z prostej drogi; przytem okazywałaś mi życzliwość tak naturalną, zajęcie tak szczere, iż wyjechałem, przekonany, że miłość moja nie została nawet odgadnięta. W obecności męża pani prosiłem o pozwolenie pisywania do niej i uzyskałem je, gdyż chętnie otrzymywano wiadomości z kwatery głównej. Jedno słowo w liście pani obudziło we mnie trochę nadziei. Mówiono o pewnej kobiecie, która, jak twierdzono, pojechała za mną do Niemiec; wydało mi się prawdopodobnym przypuszczenie, że ta głupia gadanina doszła aż do pani; co więcej, ośmieliłem się nawet mniemać, że to sprawiło pani przykrość i tak gorąco pragnąłem wytlómaczyć się, że nie tracąc ani chwili, zwróciłem się do marszałka Dovout z prośbą o pozwolenie udania się do Warszawy. Byłem zdecydowany wyjechać tajemnie, gdyby mi odmówiono tego pozwolenia; ale od pani czekałem upoważnienia do tego. Niestety! musisz pani sobie zapewne przypominać żartobliwy ton swej odpowiedzi; dlatego to postarałem się o pozwolenie powrotu do Francji. Książę Murat nie przebaczył mi, że opuściłem jego sztab i przez rok przeszło widziałem się zapomnianym

w smutnym garnizonie niemieckim. Matka moja pi-
sywała do mnie często i pocieszała mnie jak mogła;
w każdym swoim liście powtarzała mi, żebym był
spokojny, że osoba, której wpływy były bardzo pe-
wne i która mnie kochała, gdy ja się tego nie domy-
ślałem, robiła kroki w sprawie mego powrotu. Rze-
czywiście, otrzymałem w końcu rozkaz, albo raczej
pozwolenie wrócenia, podpisane przez samego cesa-
rza. Postanowiwszy zapomnieć o pani, prześladowa-
ny wszakże ciągle jej obrazem, porównywałem mi-
mowoli z nią wszystkie kobiety, jakie spotykałem;
twoja swoboda, twoja dowcipna wesołość i ta nie-
dbałość, właściwa Polkom, a która nadewszystko w pa-
ni wydawała mi się tak uroczą, sprawiała, że w mo-
ich oczach wszystkie Francuzki były wymuszone i po-
zbawione tej oryginalności, co powiększa środki po-
dobania się i podbijania. Jedna z nich wszakże i to
jedyna, której nazwiska nigdy się pani nie dowiesz,
wcisnęła się do mego serca, usiłując wciąż ukrywać
przedemną uczucie, jakie w niej wzbudziłem. O niej
to matka moja mówiła mi w swoich listach. Nie bę-
dąc zupełnie ładną, uważała się za skazaną na to, że
nikt jej kochać nie będzie i nie śmiała nawet dbać
o podobanie się; jej stale i szlachetne przywiązanie
tało się przed oczami wszystkich pod pozorami uczu-
cia całkiem braterskiego.

„Stosunki moje z jej bratem, będącym najle-
pszym moim przyjacielem, dawały mi sposobność wi-
dywania jej ustawicznie. Długo obserwowałem ją, za-
nim się jej wywzajemniłem. Nie wzbudzała ona we
mnie ani pociągu, jak tyle innych, od kiedy wszedłem
w świat, ani wzniosłej miłości, którą pani jedna oży-

wiła w mojej duszy. Pokochałem ją w końcu, gdyż miałem tysiące dowodów jej poświęcenia. Im więcej ją oceniałem, tem więcej niegodnem wydawało mi się zwodzić jej nadzieję. „— Tak — rzekła mi swoim słodkim głosem—ale jeżeli będziesz mógł jeszcze raz kochać jakąś kobietę tak, jak kochałeś w Polsce, czuję, że umarłabym.“ Te kilka słów sprawiły, że poświęciłem jej swobodę. Od dwóch lat oddałem się jej szczęściu i uważałem się sam za szczęśliwego, wiedząc, z jaką wdzięcznością przyjmowała moje szczere uczucia. Obecność pani zniszczyła nagle wszelkie złudzenia; wobec pani odżyły wszystkie żywe wzruszenia, które, sądziłem, że już zamilkły. Czulem, że od radza się we mnie nadzieja, radość; nieobecność mojej przyjaciółki, która wyjechała na kilka dni przed przybyciem pani, zostawiła mnie bez wszelkiej obrony przeciwko potężnemu urokowi, jakiego doznawałem. Ale kiedy spostrzegłem, że mogłaby pani być wzruszoną taką miłością i kiedy poważnie przyjrzałem się memu stanowisku i memu postępowaniu, surowy głos honoru odezwał się we mnie: zrozumiałem, że obowiązkiem moim było uciec od pani!! Wiele przecierpiałem i wiele przewalczyłem; chciałem przede wszystkim, aby pani zachowała mi swój szacunek. Znałem cię za dobrze, za wysoko cenilem, abym ci mógł ofiarować serce, związane *obowiązkiem* z inną istotą.

„Jest pani tak dalece godną być jedynym przedmiotem mego uwielbienia, że nie mogłabyś bez obrazę spoglądać, jak inna kobieta rości sobie prawo do mego uczucia. Jeślibym w Polsce ośmielił się spodziewać, że mogłabyś mnie kiedy pokochać, opuściłbym wszystko: moją matkę, mój kraj, moich przyja-

ciól. Twoja ojczyzna stałaby się moją, bronilibym i służył jej z takim samym zapalem, jakim tylko wy, Polki, umiecie natchnąć. Widziałem panią otoczoną hołdami, byłaś dla wszystkich zarówno uprzejmą, nigdy nie ośmieliłaś mnie do wyznania. Teraz powiedziałem ci wszystko, spełniłem swój obowiązek... nie oszukałem pani, nadużywając jej wzruszającej i szlachetnej ufności. Niech pani więcej nie wymaga! strzeż się mnie i mojej miłości. Być może, iż, aby być pewniejszym zwycięstwa, powinienem był odmówić sobie niebezpiecznego szczęścia widywania pani ciągle! Ale pani ma rozsądek za dwoje; jakżebym miał odwagę opuścić cię, myśląc, że wkrótce los rozłączy nas może na zawsze! Wrócisz do swego kraju, a ja postaram się dać się zabić przy pierwszej zdarzonej sposobności. Wie pani—dodał z tęsknym uśmiechem—że cesarz nie szczędzi nam takich okazji. Jakże potrafiłbym pozbawić się smutnego szczęścia, którem mogłoby mi się cieszyć jeszcze czas jakiś? Skazany ma we wszystkich krajach prawo rozporządzania swemi ostatecznymi chwilami.“

Słuchałam go w milczeniu. było późno, po raz pierwszy bez żalu spoglądałam, gdy odchodził. Serce moje o mało nie pękło!... Potok łez przyniósł mi wreszcie ulgę. Kiedy potrafiłam myśleć, zmierzylam całą przepaść, po brzegu której stapałam. Oddając hołd sumiennej delikatności tego, co mnie powstrzymało w chwili, kiedybym może upadła, zrozumiałam całą wielkość niebezpieczeństwa, którego uniknęłam. Bądź co bądź, szacunek i podziw wzmogły jeszcze uczucie, od którego nie mogłam się obronić i które długo jeszcze panowało nad wszystkimi innymi. Obraz tej

tajemniczej kobiety, jaką ciągle widziałam między nim a sobą, był mi wstrętny! Stroiłam ją we wszystkie wdzięki, których może nie posiadała, i nie mogłam przypuścić, żeby mi zazdrościła mego losu, bo zważywszy wszystko, najbardziej kochana musiała się uznawać za najmniej nieszczęśliwą.

IX.

Obiad w Saint-Cloud.

Zaproszenie do Saint-Cloud.—Toaleta.—Pani Montebello.—Marya-Ludwika. — Przechadzka po parku.—Prośby.—Porządek przy stole. — Menu cesarskie. — Zamek Wersalski. — Lenôtre i księżna Borghèse.—Księżę Eugeniusz.—Abdykacja króla holenderskiego.—Pieszczoty Maryi-Ludwiki. — Przepowiednie wojny z Rosją. — Przedstawienie. — Talma. — Śniadanie u Talleyranda.—Pożegnanie z Karolem F...t.—Wyjazd.

Gdybym była poddała się pierwszemu wrażeńiu, byłabym natychmiast opuściła Paryż, ale trzymała mnie tu sprawa powierzona mi przez rodziców mego męża. Chodziło o pozyskanie wynagrodzenia, przyrzeczonego przez cesarza, za olbrzymie szkody, poniesione przez hrabiego i hrabinę Stanisławów Potockich, jakie wyrządziła armia francuska podczas swojego pobytu w ich majątkach (w 1807).

Niezbyt uzdolniona do takiego rodzaju prośb, mająca z natury wstręt do wszelkich spraw, w których interes, jakkolwiek bądź słuszny, grał główną rolę, zupełnie zaniedbałam moją misję i myślałam

o niej tylko wtedy, kiedy sobie przypomniałam, że trzeba będzie zdać z niej sprawę. ¹⁾

Przyszło drugie zaproszenie do Saint-Cloud, w *wigilię* dnia naznaczonego w liście; niepodobna było odmówić, a zresztą ciekawość, przywiązana do wszystkiego, co mogło nas zaznajomić z życiem prywatnym wielkiego człowieka, była dla mnie rozrywką najpożądańszą.

Noszono wtedy na dworze żalobę; posłałam natychmiast do pani Germont, aby mi zrobiła toaletę zastosowaną do okoliczności. Odpowiedziała mojej pokojówce, że cesarz nie lubił czerni i że żalobę taką, zwłaszcza na wsi, nosiło się całkiem w bieli, że robron, oraz *fantazyjne* uczesanie były przyjęte, kiedy miało się honor być dopuszczonym do poufnego kółka ich cesarskich mości i że jutro w południe będę miała wszystko, czego mi potrzeba.

O wpół do szóstej stanęłam przed kratą w Saint-Cloud. Ponieważ sztyldwach robił niejaki trudności z wpuszczeniem mego powozu na dziedziniec, szambelan dworu raczył wydać rozkaz i wprowadzono mnie do salonu.

Znalazłam tam księżnę Montebello, która w charakterze damy dworu robiła mi honory dosyć chłodno, jakby chcąc jeszcze zwiększyć kłopot, jakiego doznałam, nie widząc nikogo z moich znajomych. Był

¹⁾ Księżę Józef Poniatowski otrzymał donację, którą przekazał memu najstarszemu synowi, swemu chrześniakowi.— Pan Marek odzywał się przed moim teściem, że księstwo Łowickie będzie mu nadane, ale te zamiary nie spełniły się. Księstwo Łowickie otrzymał później marszałek Davout, jako prostą własność.

to jej zwyczaj, taką była dla wszystkich, co nie przeszkażalo jej mieć oddanych przyjaciół i szczerych wielbicieli, których zawdzięczała zarówno swej piękności, jak i szacunkowi, którym umiała natchnąć wszystkich, cò ją znali.

Cesarzowa weszła punkt o szóstej, w towarzystwie swojej frejliny, *z dawnej szlachty*, której nazwiska zawsze zapominam. Mówiono o niej, że jest doskonale obznajmiona z ceremoniałem, przestrzegany na dworze Ludwika XVI. Zasluga bardzo poszukiwana w tym czasie ze względu na młodość monarchinię. Marya-Ludwika, ubrana bardzo skromnie, miała suknię białą, obszytą u dołu czarną wstążką; była to żałoba, o której mówiłam. Księżna Borghèse przyszła w chwilę potem, jak również cesarz i książę Würtzburski, wuj cesarzowej, ten sam, co jej towarzyszył do Paryża. Za nimi postępował pan Montalivet, minister spraw wewnętrznych. Oto wszyscy... Nie było ani orszaku, ani wystawności — było się *w rodzinie*.

Przemówiwszy do mnie kilka słów, cesarz zadzwonił i zapytał, czy powozy zajęchaly.

Otrzymałwszy twierdzącą odpowiedź, zaproponował nam krótką przejażdżkę po parku; podał ramię cesarzowej i oboje wsiedli do eleganckiego pojazdu, zaprzęzonego po angielsku w sześć wspaniałych gniadoszów z trzema żokiejami w liberyi zielonej ze złotem.

Jechaliśmy za niemi w ładnej kolebce na sześć osób, zupełnie odkrytej. Książę Würtzburski miał minę dosyć zakłopotaną i zamienił kilka słów tylko z księżną Borghèse, w której, jak mówiono, kochał się; nie wyglądał jednak na to wcale.

Milczenie było przerywane tylko skargami i westchnieniami trzech pań, co, nie mając kapeluszy, były wystawione na kurz i promienie słońca.

Przebyliśmy tak wokoło wszystkie aleje parku, jadąc ciągle dobrym truchtem.

Na zakrętach, gdzie bieg koniecznie trzeba było zwolnić, spostrzegłam jakichś ludzi z podaniami w rękę, którzy gotowali się rzucić je do pojazdu cesarza na znak przez niego uczyniony.

Przejażdżki te należały do zachcianek, których małej przyjemności cesarz wcale nie chciał zrozumieć, a nikt naturalnie, nie śmiał na to zwrócić uwagi. W chwili, kiedy pojazd zatrzymał się, przednie siedzenie było założone podaniami. Szambelan dworu otrzymał rozkaz oddania ich sekretarzowi od próśb. Dowiedziałam się później, że co rano Napoleon kazał sobie odczytywać treść próśb, przedstawionych w przeddzień, i sam dyktował odpowiedzi.

Ponieważ po powrocie z przejażdżki podano do stołu, cesarz dał znak Maryi-Ludwice, aby wzięła pod rękę swego wuja i przeszła do sali jadalnej; on poszedł za nimi, myśmy weszły również, z wyjątkiem frejliny i księżnej Montebello, które, ku wielkiemu memu zdziwieniu, przeszły do innego salonu, gdzie stół nakryty na trzydzieści osób oczekiwał na wyższych oficerów, jak również damy dworu, którym wielki marszałek Duroc robił honory przy stole. Idąc za ich cesarskimi mościami przez apartamenty, spostrzegłam marszałka Davout, będącego w tym dniu na służbie, jako dowódcę gwardyi. Przyznaję, że ze złośliwością złożyłam mu w *przejsciu* lekki

przyjazny ukłon, aby mu zapłacić za królewskie to-
ny, jakie on i jego żona nadawali sobie w Polsce.

Stół cesarski miał formę prostokąta. Cesarzowa i jej wuj, oboje osobistości *rieme*, zajęli jeden bok; Napoleon naprzeciwko nich znajdował się pomiędzy dwoma *pustemi miejscami*. Księżna Borghèse i ja siadłyśmy przy końcu prostokąta, a pan Montalivet przy drugim. Cesarz zwykle zapraszał do swego stołu ministra, z którym pracował rano, aby prowa-
dzić w dalszym ciągu rozmowę o sprawach, które, jakkolwiek mniej ważne, były w związku z pracą dzienną.

By'ło to przy końcu czerwca, jeszcze bardzo było widno, słońce przedostawało się przez liście, ale pomimo tego blasku, wszystkie świeczniki były poza-
palane, a okna otwarte. To podwójne światło wy-
woływało wcale niemiły efekt. Był to dziwaczny ka-
prys; mówiono mi, że cesarz nigdy inaczej nie jadał
obiadu. Za krzesłem jego stał paź z serwetką w rę-
ku; paź ten miał minę, jakby chciał podać talerz, ale
Napoleon nie znosił tego, oficer służbowy spełniał tę
usługę.

Usługa szła z niezwykłą szybkością, a milcze-
nie było tak wielkie, że możnaby powiedzieć, iż po-
wierzano ją sylfom.

Napoleon jadł mało i bardzo szybko; wybierał
prostsze dania. Mniej więcej w połowie obiadu po-
dano cesarzowi na płaskim talerzu, który nie należał
do całości obiadu, karczochy z *ostrym sosem*, zaczął się
śmiać i zaproponował nam podzielenie z nim jego
skromnego posiłku. wychwalając bardzo tę pustelniczą
potrawę. Ale ponieważ nikt nie zdawał się pragnąć

skosztować jej, kazał talerz z karczochemi postawić przed sobą i zmiotł je do szczytu!

Cesarzowa przeciwnie, bardzo zajęta potrawami, jakie jej podano, nie odmawiała żadnej i wydawała się niezadowolona z szybkości, z jaką po sobie następowały. Pod koniec obiadu cesarz przerwał milczenie i zwracając się do pana Montalivet, zapytał go o roboty przedsięwzięte w zamku wersalskim, który zaczęto restaurować.

— Chcę — rzekł — bawić Paryżan, jak za dawnych czasów, trzeba, żeby co niedziela były wodotryski; ale czy to prawda, że za Ludwika XVI rozrywka ta każdym razem kosztowała sto tysięcy franków?

A na twierdzącą odpowiedź ministra, zawołał:

— To za dużo, żeby *chodzić oglądać kaskady*. Ale jeśli odmówię tej przyjemności gapiom paryżkim, którzy są przywiązani do zabawy więcej niż do cegokolwiek bądź innego, nie będą mieli dość rozsądku, aby zrozumieć, że chciałbym zrobić lepszy użytek z tak znacznej sumy.

Mówiąc o ogrodach tej królewskiej rezydencji, i o ich ogromie, starał się przypomnieć sobie nazwisko sławnego Lenôtr'a¹⁾, co je nakreślił.

Jakimś dziwnym przypadkiem nie przypomniał go sobie i pan Montalivet i obaj niecierpliwili się napróżno.

Ośmielilam się podszeptać je do ucha księżnej Borghèse, która je na głos powtórzyła.

¹⁾ Andrzej Lenôtre, twórca francuskiej sztuki ogrodniczej, ur. 1613, zm. 1700 r.

— Ach! — rzekł Napoleon — to wcale nie od pani. Założyłbym się, że pani nie wiesz, iż Lenôtre kiedykolwiek istniał... umarł nie za pani czasów!

Później rzucił mi uprzejme spojrzenie.

Mieliśmy właśnie wstawać od stołu, kiedy szambelan przyszedł uprzedzić cesarza, że wice-król włoski czekał na niego w ogrodzie. Podniósł się pospiesznie, nie pozwalając Maryi-Ludwice dokończyć lodów, co ją dotknęło tak dalece, iż nie mogła wstrzymać się od poskarżenia się swemu wujowi.

Wszedłszy do salonu, dokąd nas wyprzedziły dwie damy honorowe, znaleźliśmy tam pootwierane wszystkie okna, wychodzące na główną aleję parku.

Księżę Eugeniusz przechadzał się tam w niezwykłym wzburzeniu; kiedy Napoleon go spostrzegł, podszedł naprzeciwko niego.

Sądząc po żywości ich rozmowy, przedmiot jej musiał należeć do najważniejszych. Cesarz gestykulował jak prawdziwy korsykanin; księżę, jak się zdawało, starał się go uspokoić, łatwo można było zauważyć, że Napoleon nie był zadowolony. Wybuchy głosu dochodziły aż do nas, ale wiatr unosił wyrazy.

W salonie milczenie przerywały tylko banalne frazesy, z którymi pan Montalivet uważał się w obwiązku do nas zwracać, ażeby nie wyglądało na to, że słucha rozmowy, prowadzonej w parku.

Cesarzowa nie przemówiła ani słowa. Siedząc obok swego wuja, dającego jej przykład doskonałej niemoty, bezmyślnie wyglądała przez okno, bynajmniej nie troszcząc się o to, co się działo w parku, gdzie rozmowa coraz bardziej ożywiona jeszcze się ciągnęła.

Ponieważ wszystko wreszcie staje się znanem, zwłaszcza zaś na dworze, gdzie jest otwartych tyle oczu i tyle uszu, aby wszystko widzieć i wszystko słyszeć, dowiedzieliśmy się wkrótce, co było przyczyną tej burzy. Wice-król, podjąwszy się na prośby swego szwagra, króla holenderskiego, oznajmienia cesarzowi o jego zrzeczeniu się tronu, przyjechał wypełnić tę trudną misję i prawdopodobnie usiłował wytlómaczyć swego szwagra.

W końcu Napoleon wrócił do salonu; twarz jego była surowa, ale spokojna; poszedł wprost do panna Montalivet i uprzedził go, że nazajutrz o piątej rano uda się do małego Trianon ¹⁾, które urządza-
no dla młodej monarchini. Marya-Ludwika usilnie prosiła, aby ją wzięli z sobą, przyrzekając, że nie każe na siebie czekać i że o naznaczonej godzinie będzie gotowa.

Cesarz odmawiał łagodnie, utrzymując, że w stanie, w jakim się znajduje, należy unikać wszelkiego zmęczenia; chcąc dodać więcej wagi swojej odmowie, poradził się księżnej Montebello, która zgodziła się z jego zdaniem. Marya-Ludwika, jak prawdziwe zepsute dziecko, nie dawała za wygraną i wciąż nalegała, twierdząc, że doktor nakazywał jej przechadzki. Pieszcząc swego małżonka w nadziei otrzymania tego, czego pragnęła, położyła mu rękę na ramieniu; ta poufałość wobec świadków nie zdawała się podobać Napoleonowi, łagodnie zdjął rękę swojej młodej

¹⁾ Pałacyk letni w pobliżu Wersalu, wystawiony przez Ludwika XV dla uprawiania w nim rozpuistnych biesiad.

małżonki, nie zaniechawszy wszakże czule jej uści-
snać.

Cesarz, wprowadziwszy mnie we framugę okna, zapytał o wiadomości, jakie otrzymałam z Polski, i czy to prawda, że cesarz Aleksander groził skonfiskowaniem posiadłości tych poddanych, coby nie weszli w granice jego państwa.

Otrzymawszy rano list od mego teścia, znalazłam się w możności potwierdzenia tego faktu, o którym, jak się zdawało, cesarz chciał wątpić. Powiedziałam o konieczności przyspieszenia mego wyjazdu.

— Niech się pani nie niepokoi — powiedział mi z właściwym sobie wdzięcznym uśmiechem — baw się i nie myśl *jeszcze o zbieraniu swoich manatków*.

Takie to zdania, rzucane bez namysłu, pozwalały pizeczować wojnę z Rosyą, o której nikt *jeszcze* nie śmiał mówić, ale którą wszyscy już uważali za nieuniknioną ze względu na olbrzymie przygotowania, o celu których jednak milczano.

— Co pani sobie życzy, abym jej przywiózł z Indyj? — powiedziała mi jedna z najbardziej wpływowych osobistości tego czasu.

— Z Moskwy, czy z Petersburga? — odparłam, chcąc przeniknąć jego myśl.

— Ach! to być może, że tamtędy będziemy przechodzić, ale ja sędzę, że pani będzie woląa rzadszą zdobycz. Klaniałiśmy się Piramidom, teraz słusznem jest, żebyśmy trochę zobaczyli, co robią nasi rywale z za morza.

Wszystko, co opisuję teraz, wyda się kiedyś za-
pożyczonem z *Tysiąca i jednej nocy*, a przecież wzię-
łam sobie za prawo w niczem nie odstępować od

najściślejszej prawdy. Ale tak bardzo przyzwyczajono się do niezwykłości, że największe cuda zdawały się możebnymi, a niemożebność wykonalną.

Powracam do tego dnia w Saint-Cloud, który zajmuje wybitne miejsce w moich wspomnieniach, a który zakończył się zachwycającem przedstawieniem. Talma ¹⁾ grał Manliusza. Był to wielki tryumf tego zachwycającego aktora, łączącego z pięknnością głosu szlachetność póz i gestów i rzadką regularność rysów. Kiedy wkładał na głowę wieniec laurowy, wyglądał na starożytnego tryumfatora, mającego zająć miejsce w rydwanie, ciągniętym przez niewolników. Zapominało się o aktorze, a myślało o bohaterze. Co było w nim niezwykłego, to ogromne podobieństwo z Napoleonem, zwłaszcza profilu. Wyglądali jak dwaj bracia i różnili się tylko wzrokiem. Pierwszego był głęboki, drugiego przesadnie poważny.

Paryż przybył tłumnie. Ponieważ sala nie była obszerna, robiono tysiącne intrygi dla zyskania miejsca. Łożami rozporządzał sam cesarz; bilety na parter i galerye rozdawali wysocy urzędnicy dworscy. Mój bilet dawał mi wejście do łoży ministrów zagranicznych, znajdującej się tuż obok łoży cesarskiej, Korzystano tam z dwóch naraz widowisk równie zajmujących.

Napoleon, który lubił piękne wiersze, pragnął chwilami, jak się zdawało, żeby, jeżeli nie jego entuzjazm, to przynajmniej zadowolenie udzieliło się młodej cesarzowej, która, nieruchoma w swoim

¹⁾ Franciszek Józef Talma, słynny aktor tragiczny francuski, ur. 1763, zm. 1826 r.

fotelu ze złotemi orłami, błędziła wzrokiem po sali, zwracając go na scenę tylko na krótko, kiedy była do tego, można powiedzieć, zmuszona oklaskami cesarza; znosił on z rzadką cierpliwością *apatyczną* obojętność swej towarzyszki.

Gdy około jedenastej skończyło się przedstawienie, ich cesarskie moście skłonili się nam i wyszli.

Natychmiast droga do Paryża, wspaniale oświetlona, zatrzęsła się pod szybko dążącymi ekwipażami tych wszystkich, którzy byli obecni na tem przedstawieniu podwójnie królewskiem, tak dalece cudną była gra Talmy ¹⁾.

Tak skończył się ten świetny dzień, którego następstwami były najśmieszniejsze zdarzenia. Talleyrand, bynajmniej nie zamierzający oddać mi wizyty i uważający aż dotąd za dostateczne złożenie karty u mego odźwiernego, przyszedł zaraz nazajutrz wypytać mnie o szczegóły wczorajszego obiadu. Badał mnie bardzo zręcznie o to, co widziałam i co słyszałam; powiedziałam mu to tylko, co prawdopodobnie już wiedział; wbrew swemu zwyczajowi, był bardzo uprzejmy, mówił mi o Polsce z wielkimi pochwałami i w końcu zaprosił mnie na śniadanie do swojej biblioteki. Poszłam chętnie na to zaproszenie, a ponieważ mam zawsze mówić samą prawdę, mu-

¹⁾ Pan Stryjeński robi uwagę, że autorka pomyliła się co do tego przedstawienia. Obiad, który opisuje, odbył się 28-go czerwca 1810 r.; otóż w tej dacie Talma grał w Saint-Cloud „Hektora“, „Manliusza“ zaś mogła widzieć Potocka w komedyi francuskiej, gdzie ją grano czterokrotnie w r. 1810.

sze przyznać, że nigdy milej nie spędziłam poranku. Pokazywał mi swoje skarby; rzecz bardzo naturalna, że najpiękniejsze i najrzadsze z wydań były zebrane u znawcy milionera; bądź co bądź, nieporównanie pokazywał swe książki, nigdy nie mówił tego, o czem mogło się wiedzieć, lub co inni już o tem powiedzieli lub napisali; bardzo mało mówił o sobie samym, wiele o znakomitych ludziach, z jakimi miał stosunki. Jednem słowem, był on tak wykształcony, jak nim być może wielki pan, poświęcający dużo czasu na swe przyjemności. Aby dopełnić tego pochlebnego portretu, który wszakże nie jest pochlebionym, powiem, że Talleyrand posiadał cudowne umiejętności, że chwilowo zapominało się o jego przeszłości, kiedy mówił o chwili obecnej.

Drzwi moje były obleżone przez odwiedzających wszelkiego rodzaju! Przychodzono proponować mi najpiękniejsze pałace, myśląc, że już nie opuszczę Paryża; były nawet osoby, które śmiały radzić mi, abym nie *odpychała* tego, co nazywały *ogromną łaską*. Widziałam wtedy bez żadnej osłony całą nikczemność i całe zepsucie dworaków. Coby pomyśleli, gdyby mogli zajrzeć w głąb mojej duszy i zobaczyć, z jakim szczęściem zamieniłabym stanowisko, jakie we mnie wmawiano, na życie zaciszne, lecz podobne do tego, jakie wiodłam przez kilka miesięcy?

Karol F... przyszedł się ze mną pożegnać w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewałam. Pochwalając moje zachowanie, cierpiał nad niem i z trudem wybaczył mi to, co nazywał *nadmiarem rozsądku*. Zbyt jednak przenikliwy, aby nie odgadnąć i nie ocenić, ile mnie kosztowało zwyciężenie skłonności,

jaką we mnie wzbudzi¹, zachował mi szacunek i przywiązanie, na które będę mogła liczyć całe swe życie. Uważałam się za upoważnioną dać mu na odjezdnem mój portret z tym napisem, zapożyczonym z poematu Légouvé'go:

C'est moins qu'une maîtresse, et bien plus qu'une amie. ¹⁾

Uderzenie młotka przy drzwiach mego domu, kiedy opuszczał go po raz ostatni, długo rozlegało się w moich uszach... Słyszałam je we snach i zrywałam się na równe nogi!... Czas dopiero ukoil to bolesne wrażenie i to bardzo powoli; kiedy wróciłam do moich dzieci, uczucie szacunku i wdzięczności dla przyjaciela, który mnie zwrócił ku najświętszym obowiązkom, zatarło wspomnienia ciężkie i słodkie zarazem.

Opuszczałam Paryż bez żalu; miasto to było świadkiem moich pierwszych smutków, które się uważa za *nieszczęścia*, kiedy się nie doświadczyło innych okrutniejszych, a zwłaszcza bardziej niepowetowanych.

¹⁾ To mniej niż kochanka, a więcej niż przyjaciółka.

CZĘŚĆ CZWARTEJ.

KSIĘSTWO WARSZAWSKIE.

I.

B i g n o n.

(1811—1812)

Urodzenie się hrabiego Maurycego Potockiego. — Dwór Fryderyka Augusta. — Pan Serra. — Książę Józef Poniatowski. — Jego charakter. — Urodzenie się króla rzymskiego. — Zapał Polaków. — Podróż księcia Józefa Poniatowskiego do Paryża. — Paulina. — Pan Bignon. — *Kucik*. — Pan Bignon i sprawa polska.

W ciągu zimy doznałam wielkiej radości, a radość ta sprawiła, że straciłam chwilowo z oczu wypadki polityczne. 13 stycznia (1812), o siódmej rano, wydałam na świat syna, przepowiedzianego mi przez małą wróżkę. Urodził się w okolicznościach wywrotzonych.

Po raz pierwszy w życiu zapragnęłam mieć dla jednego z moich dzieci królewskiego ojca chrzestne-

go!... Pochlebiałam sobie, że poproszę o tę łaskę wielkiego Napoleona, który miał *wskrzesić Polskę*.

Ochrzcilam więc mego syna tylko z wody, i otrzymał, nie wiem dobrze dlaczego, imię Maurycego. — Drogie dziecko, jakże byłeś ładne i grzeczne!... nigdy płacze i krzyki nie szpeciły twej tłuściej i świeżej buzi; stałeś się miłością swej matki i radością domu, wszyscy cię ubóstwiali. Jeszcze teraz dziękuję ci za szczęście, jakim mnie obdarzyłeś.

Kiedy wróciłam do Polski, należeliśmy do króla Saskiego ¹⁾, któremu dał nas Napoleon, albo raczej do którego nas przyłączył, nie wiedząc dobrze, co zrobić z Księstwem Warszawskim, które urządził *mimochodem*, pozostawiając starania o jego powiększenie czasowi i okolicznościom.

To utworzenie Księstwa Warszawskiego podsycało nasze nadzieje.

W oczekiwaniu *czegoś lepszego*, mieliśmy monarchę rzadkiej moralności, zajmującego się dobrobytem swego kraju z troskliwością mądrą i ojcowską. Otoczenie króla i królowej, dosyć już podeszłych w wieku, było, prawdę mówiąc, bardzo podobne do uspięnego i przestarzałego dworu królowny w zaczarowanym śpiącym lesie. Moznaby powiedzieć, że przed stu laty zatrzymano wszystkie koła. W każdym razie na tym dworze spotykano się ze stałymi zasadami, z bezinteresownością, które wydawały się już nie z tego wieku, i z manierami do zbytku oglądzonemi i uprzejmemi.

¹⁾ Był to Fryderyk August, ur. 1750, zm. 1827 r.

Forma rządu, nadana przez Napoleona, była prawie taka sama, jak wszystkich państw związku reńskiego. Mieliśmy radę, złożoną z siedmiu ministrów i prezydenta. Ta heptarchia, na pozór całkiem narodowa, w rzeczywistości poddana była wpływowi rezydenta francuskiego; prawdziwego prokonsula, używającego władzy prawie nieograniczonej; dozwolone było jednak, w wyjątkowych okolicznościach, odnosić się do samego cesarza za pośrednictwem ministra sekretarza stanu, przebywającego przy królu i *wyłącznie* oddanego sprawom, dotyczącym Księstwa Warszawskiego.

Kiedy przyjechałam, rezydentem Francji był pan Serra, szlachcic genueński, dosyć sztywny i wyrachowany, wielki łacinnik, według zdania uczonej, ale niezbyt biegły w rozmowie, nie obdarzony ani przymiotami, ani wadami, przyznawanemi narodowi, który przedstawiał. Szanowano go ogólnie, ale nie lubiono wcale. Przykry w rozprawach, wnosił do nich żelazną wolę, której radzono mu użyć, jako środka podobania się absolutnemu panu. Często teść mój, będący prezesem rady, wracał z posiedzenia zrozpaczony wymaganiami pana Serry. Napróżno mu przedstawiano, że kraj, wyczerpany wydatkami, na jakie był skazany wskutek długiego pobytu armii, nie miał już środków. Nie chciał słyszeć o niczem; odpowiadał na zarzuty słowami: *A jednak, panowie, to jest konieczne i tak będzie, ponieważ tego wymaga cesarz.* Wówczas w ostateczności zwracano się do najjaśniejszego pana, który kazał dawać zaliczki ze

skarbu i zalecał rezydentowi, żeby chwilowo robił ulgi, ale nie ustępował wcale ¹⁾).

Całkowicie oddany Talleyrandowi, któremu zawdzięczał swoje stanowisko, pan Serra w głębi duszy nie lubił Napoleona. Czasami zwierzał się przed tymi ministrami, których dyskrecya była mu znana, lecz te uczucia w niczem nie zmniejszały gorliwości, z jaką wykonywał rozkazy, nadsyłane z Paryża.

Cesarz powrócił nam nasze barwy narodowe, nasz język, nasze instytucje, nasze wojsko, którego wodzem był książę Józef Poniatowski. Żaden człowiek nie był godniejszy od księcia Józefa dowodzenia pięćdziesięcioma tysiącami dzielnych, co służyli już pod jego rozkazami. Ubóstwiany przez żołnierzy, z którymi dzielił niebezpieczeństwa i trudy, doznawał od nich tego, co inni otrzymywali dzięki surowej karności.

Charakter jego przedstawiał najdziwniejsze przeciwieństwa. Zawojowany u siebie, ustępujący chętnie przez zamilowanie spokoju, w razie potrzeby miał męską energię, jakiej wymagały trudne okoliczności, napelniające jego życie. Od tej chwili człowiek prywatny zniknął, ustępując natomiast miejsca człowiekowi publicznemu, całkowicie oddanemu honorowi swej ojczyzny. Co było najbardziej zadziwiającem w tem połączeniu bohaterstwa i słabości, to to, że miłość własna nigdy nie była sprężyną żadne-

¹⁾ A przecież, kiedyśmy jęczeli pod temi rządami, odznaczającami się despotyczną obojętnością, jakże dalecy byliśmy od przewidywania tego, co nas w przyszłości czekało! Podobni do kobiet, żałujących nawet tyranii tego, którego kochały, z jakże gorzkimi uczuciami musimy mówić o owych czasach nadziei i chwały!

(Przypisek autorki.)

go z jego czynów, nigdy nie było człowieka tak wolnego od *próżności*. Być może, że historia wyrzuci mu będzie zupełny brak tej wady; wyjątkowe jego położenie, w jakim się znajdował, byłoby mogło wynieść go aż na tron i tym sposobem zapewnić istnienie kraju. Bądź co bądź, jego szlachetne uczucia, jego nadzwyczajne męstwo i zaszczytna śmierć, zrobiły z niego bohatera, którego imię, czczone na zawsze, pozostanie drogim dla jego ojczyzny.

Listy, przybywające z Paryża, zawierały tylko szumne sprawozdania z balów, wydawanych z racji powrotu do zdrowia młodej monarchini, która wydając na świat syna tak gorąco upragnionego, zaspokoila pragnienie swego męża i utwierdziła tron cesarski. Czas ten z pewnością był najświetniejszym z życia Napoleona; wszyscy, którzy byli do niego przywiązani, promieniowali, że tak powiem, jego szczęściem.

Wciąż trwały uroczystości i bale kostiumowe, na których gromadziły się wszystkie bóstwa Olimpu. Królowa neapolitańska ukazała się jako Minerwa, a jej siostra, piękna Paulina, jako Wenus.

Oddawna już armia nie korzystała z tak długiego pokoju. Obecność tej świetnej młodzieży, żadnej zabaw, jak i wypoczynku, dodawała świeżego blasku uroczystościom wszelkiego rodzaju. Ale wśród tego ogólnego upojenia rozległy się tajemnicze słowa i nie wątpiono już o wojnie — o tej wojnie, w której Napoleon miał przegrać swoją sławę i swoje cesarstwo, a którą, jak Kserkses, chciał przedsięwziąć na czele stu różnych narodów. Czas ubiegał na rokowaniach dyplomatycznych. Napoleon wymagał od cesarza Aleksandra poświęcenia sobie Anglii.

Obliczając więc niebezpieczeństwo oporu, książe ten nie mógł zdecydować się na zmianę systemu i zwlekał, wspomagany pojednawczym duchem pana Caulaincourta, ambasadora francuskiego, który, oczarowany szlachetnością charakteru samowładcy i okazywanem mu zaufaniem, powstrzymywał jeszcze gromy swego pana.

Książe Poniatowski, wysłany przez króla saskiego i przez rząd Księstwa dla wyrażenia cesarzowi Napoleonowi udziału, jaki naród brał w jego radości z urodzenia tego następcy, który był tak gorąco pożądany, nie przywiózł z Paryża *nic pewnego* co do wojny. Dwór był rozbawiony i jeśli jakieś znękanie umysły wróżyły wyprawę równie olbrzymią, jak i niebezpieczną, nie słuchano ich wcale, gdyż Napoleon *jeszcze milczał*. Książe był podejmowany z rzadkiem wyróżnieniem, przyjęcie jego było jak najpochlebniejsze. Jego piękna i szlachetna twarz zjednała mu powodzenia wszelkiego rodzaju; czarująca Paulina nie okazała się obojętną dla naszego bohatera i mógł on do swego miłosnego pugilaresu załączyć jeszcze jedno zwycięstwo więcej.

Nagle pan Serra otrzymał rozkaz udania się do Drezna, a w Warszawie zastąpiono go panem Bignon. Przyczyna tej zmiany pozostała dla nas nazawsze niewiadoma, a sam pan Serra twierdził, że jej nie zna; bądź co bądź, w Dreźnie czekała go śmierć. Pan Bignon zastąpił go ku wielkiemu zadowoleniu rady, ze względu, że lepiej rozumiał sprawy i nie okazywał się tak żarliwym w zadowoleniu *pana*.

Co do społeczeństwa, nie było ono tak zado-

wolone; — nie umieliśmy ocenić nowo przysłanego, jak na to zasługiwał. Ale i pan Bignon maskował się nie bez przyczyny i trudno było odgadnąć pod tą mieszczańską i gminną powierzchownością, wyższość i zdolności, jakich zadziwiająco dowody złożył później.

Zmuszony przez swoje stanowisko prowadzić dom, robił u siebie honory w sposób bardzo niezgrabny; aż mi przykro, że miałam chęć śmiać się z niego.

Raczył nas wciąż jednym i tym samym frazesem, który wypowiadał na najrozmaitsze tony, wyobrażając sobie może, że łatwiej niż każdy inny będzie przez nas zrozumiany. Wciąż tedy mówił:

— Czyż to możebne, żeby pani siedziała w tym kąciku!... Któż mógł myśleć, że zajmie pani tak złe miejsce, jak ten kącik... Ponieważ znajduję panią w tym kąciku, nie będzie mi wolno na chwilę podzielić samotności pani?... Ach! otóż pani w swoim kąciku!... Co za niesprawiedliwość chować się w ten sposób!... Usiadła pani tutaj, ażeby robić spostrzeżenia i w tym kąciku wyśmiewa nas pani!...

I czy się to działo w pośród najświetniejszego towarzystwa, czy też na samotnej kanapce niemieckiej wdówki, wszystko dla pana Bignon zdawało się kącikiem. Jeśli czasem zajęcia pana domu nie pozwalały mu rozwoździć się w długich omówieniach, to przynajmniej *w przejściu* rzucał damom słowo zalotne, lub pełnej poważania uprzejmości.

Któż mógł pomyśleć, że w parę lat później osobistość tak zakłopotana stanie się jednym z najbardziej porywających mówców, jednym z najznako-

mitszych publicystów, pisarzem, któremu Napoleon miał kiedyś powierzyć pracę przekazania potomności swojej cudownej historii? ¹⁾ Któżby wtedy odgadł, że pan Bignon był *człowiekiem wyższym*, którego mowy w izbie wywołają słuszny zachwyt jego współziomków? Któżby powiedział, że z taką elokwencją będzie bronił świętej sprawy, którą przedstawialiśmy trybunałowi Europy, i że jego szlachetny przykład wywoła niezliczonych naśladowców?

Jeżeli czasami lekkomyślność naszych sądów czyni nas niesprawiedliwymi, to nigdy wszakże nie czyni nas niewdzięcznymi i pan Bignon zostawił w sercu Polaków niegasnącą wdzięczność. Przyznaję, że mnie przemiana ta wydawała się cudowną. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że trzeba się strzedz w sądzeniu męża stanu podług wymagań *salonu*, zwłaszcza gdy się on w nim nie urodził. W tem kryła się przyczyna gminności pana Bignon. W radzie przenoszono go nad szlachetnie urodzonego pana Serre, chociaż nie umiano się poznać na całej jego wielkiej wartości.

¹⁾ W testamencie Napoleona czytamy: „Baronowi Bignon przekazuję sto tysięcy franków i zalecam mu napisać historię dyplomacji francuskiej od roku 1792 do 1815.“ Bignon rzeczywiście napisał historię Francji za Napoleona do roku 1812 (10 tomów, 1829 i 30 r.).

II.

Wstępne kroki do kampanii rosyjskiej.

Wypowiedzenie wojny. — Armia polska. — Widzenie się w Dreźnie Napoleona z Franciszkiem. — Marya-Ludwika i Beatrycze d'Este. — Konfederacya generalna. — Przybycie arcybiskupa Mechlińskiego. — Jego portret. — Pan d'André — Ksiązę Broglie. — Pan Brévannes. — Instalacya ambasadora. — Jego skąpstwo. — Ksiązę Czartoryski, marszałek konfederacyi. — Matuszewicz. — Ksiązę Adam. — Mowa księcia Czartoryskiego. — Kokardy. — Odpowiedź cesarza.

Na wiosnę 1812 roku wypowiedziano wieszczcie wojnę i ujrzeliśmy Europę zachwianą pod zwyciężkami orłami Napoleona.

Obliczając narody, idące za sztandarami francuskimi, najwięksi sceptycy nie mogli wątpić o powodzeniu tego zuchwałego przedsięwzięcia. Któż potrafiłby się oprzeć takim siłom, prowadzonym przez takiego człowieka?... Jedno słowo tego, co rządził losami świata, potroiłoby nasze siły, zapewniło jego zwycięstwo, lub przynajmniej osłoniło jego odwrot. Czemuż nie wypowiedział tego czarodziejskiego słowa, któreby, utwierdzając nasze istnienie, oszczędziło mu klęsk bezprzykładnych!

Jak tylko wiadomość o wojnie stała się głośną, młodzież ze wszystkich stron zbiegała się, zanim

ją nawet powołano. Ani groźby Rosyi, ani przedstawiania i obawy krewnych, nie mogły powstrzymać tego patryotycznego wybuchu; był to ten sam zapal i to samo poświęcenie, co w roku 1806, ale stopień zaufania był większy.

Nowe pokolenie zastąpiło to, co częściowo znikło w szeregach wojska francuskiego; dzieci z gorączkową ciekawością słuchały opowieści starszych i pałały ogniem. Nadzieja powrótca zwycięzcami popychała ich do czynów bohaterskich. Żołnierze, zaledwie wyszli z wieku młodocianego, wzbudzali podziw starych grenadyerów. Ci, co nie nosili mundurów, nie śmieli pokazywać się na ulicach, gdyż byliby znieważeni przez uliczników

Nie jestem jeszcze bardzo stara, a już trzykrotnie widziałam dokazywane cuda bohaterstwa!.. W przeciągu czterdziestu lat trzykrotnie zdobywaliśmy się na wysiłki szlachetne, tem więcej godne podziwu, że wśród ludzi dojrzałych było mało złudzeń i mało nadziei.

Napoleon wyjechał z Paryża 10 grudnia w towarzystwie Maryi-Ludwiki, która chciała go odprzewodzić aż do Drezna. Spotkali się tam z cesarzem Franciszkiem, również w towarzystwie swej młodej małżonki, Beatryczy d'Este ¹⁾, ostatniej latorośli tej znakomitej rodziny, z którą wiąże się tyle tradycyj historycznych i tyle romantycznych wspomnień. Księżniczka ta, poświęcona, jak zwykle te, których losami rządzi polityka, nie była ani poznana, ani oce-

¹⁾ Była to trzecia żona cesarza Franciszka Marya-Ludwika Beatrycza d'Este, zm. 1816 r.

niona na tym dworze, gdzie wkrótce zgasła z braku powietrza.

Przy tem spotkaniu między dwiema monarchiami wywiązała się rywalizacya. Marya-Ludwika nie była w stanie pojąć innej wielkości, jak swego świetnego stanowiska; chciała przygnieść swoją machochę wspaniałościami i obsypać ją najbogatszymi podarunkami. Ale дума austryacka sprzeciwiała się temu; — dwie księżne rozstały się dość chłodno.

Marya-Ludwika wylewała potoki łez, rozłączając się ze swoim małżonkiem. Moznaby pomyśleć, że przeczuwała, iż pożegnanie to miało być *ostatniem* i że odtąd historya imię jej będzie wymawiała nieprzyjaźnie, na co zasłużyło jej nędzne postępowanie. Nigdy nie dowiedziano się *właściwie*, co zaszło między dwoma monarchami, ale ze sposobu, w jaki Napoleon opuścił swego teścia, można było sądzić, że związało się między nimi przymierze zaczepno-odporne.

Cesarz, zręczny w wyzyskiwaniu namiętności, jakie chciał wprowadzić w grę, nie zaniedbał niczego, coby mogło pochlebić Polakom i zapal ich doprowadzić do ostatnich granic *możebności* i bądź co bądź, pozwolił im *spodziewać się wszystkiego*, nigdy nie wiążąc się niewczesnymi obietnicami. Pan Bignon otrzymał rozkaz powiadomienia się drobiazgowo o *tradycjach narodowych* i upewnienia się, w jaki sposób przystępowano niegdyś do *pospolitego ruszenia* za zbliżeniem się nieprzyjaciela.

Przy tej sposobności zwołano *sejm konfederalcyjny* i przysłano nam ambasadora francuskiego, którego obowiązkiem było czuwanie nad tem, co zajdzie w tych ważnych okolicznościach.

Wszystkie te demonstracje miały na celu przestraszenie Rosyi, gdyby echo naszych nadziei rozległo się w najodleglejszych prowincjach byłej Rzeczypospolitej.

Ujrzeliśmy pana de Pradt, wjeżdżającego z całą okazałością, konieczną dla przedstawiciela wielkiego narodu i potężnego monarchy.

Ale jakże małym i pospolitym wydał się on nam wśród całego tego przepychu, z którego korzystał zarazem wyniośle i trywialnie. Mówiący nieustannie o swoim gospodarstwie, o swojej kucharce, którą kazał sprowadzić, „gdyż była równie gospodarną, jak doświadczoną!...” łający na głos swoją służbę, chodzący doglądać swoje dwa grube konie andaluzyjskie, gadający ustawicznie, bez znużenia opowiadający anegdoty, które wszyscy znali, usiłujący wyśmiewać szlachetne uczucia i zapał, których nie pojmował, pozbawiony godności w manierach, a taktu w słowach, takim był pan de Pradt.

W każdym innym kraju, a zwłaszcza w innych okolicznościach, niczegooby nie dopiął; ale Polacy w monsignorze arcybiskupie Mechlińskim widzieli tylko tego, który go przysłał, którego potężna ręka jedna tylko mogła pomódz Polsce do podźwignięcia się. Bądź co bądź, tem niemniej byli zdziwieni tym wyborem, którego nic nie usprawiedliwiało, nawet zrzeczność; pan de Pradt był tak mało zdolny do kierowania czemkolwiek bądź, że zupełnie zdawał się na niejakiego pana André, czy też d'André, którego nazwiska nigdy właściwie nie znałam; spotykano go tylko na wielkich obiadach ambasadora, gdzie skromnie usadowiony przy końcu stołu, taił swoje zasłu

gi i swój wpływ. Bądź co bądź, jego twarz wymowna i ruchoma nie nadawała się do ukrywania niezbyt miłego wrażenia, wywoływanego conceptami amfitryona, który oddawał się czasem wesołości, nieodpowiedniej ani dla jego wieku, ani dla jego stanu.

O ile ambasador wydawał się nam mało uzdolnionym do powierzonej mu misji, o tyle skład ambasady był dobry. Z pomiędzy tych panów najbardziej zasługujących na uwagę przytoczę księcia Broglie ¹⁾, bardzo jeszcze młodego, ale który z wyjątkiem przypatrywania się swej nodze, okazywał już zdolności niezwykle i posiadał wykształcenie istotnej wartości w połączeniu z uczciwym charakterem; pana Brévanes, człowieka nieskończenie dowcipnego i o zdrowym rozumie, zaletach rzadko połączonych. Cierpiał na aneuryzm, bardzo już rozwinięty, i zdrowie jego sprawiało, że często bywał smutny i zadumany, ale jak tylko kiedy w chorobie nastąpiła przerwa, jego żarty rozweselały salon. Nie spotkałam człowieka tak *spokojnie* miłego i dowcipnego. Był także pan Panat, trochę zanadto zajęty swoją maleńką osóbką i swoją godnością, ale bynajmniej niepozbawiony zdolności i zręczności. Sądzę, że to był pracownik w owym gronie. W końcu ten dobry i godny poważania pan Rumigny, którego wspomnienie pozostało drogiem dla tych wszystkich, co go znali, i który później zostawszy ambasadorem w Szwajcaryi, okazał się opiekunem wszystkich nieszczęśliwych Polaków.

Ponieważ urządzenie pałacu Brühlowskiego, któ-

¹⁾ Wiktor książę de Broglie, ur. 1785, zm. 1870 r. W 1816 r. zaślubił córkę pani Staël.

ry ofiarowano ambasadorowi, nie było jeszcze całkowicie ukończone, gdyż włożono w to tyleż trudu, co przepychu, pan de Pradt, który nie chciał pozostać w hotelu, w jakim stanął, nie wiedział, gdzie zamieszkać. Chwilowe najęcie przyzwoitego lokalu nie dogadzało monsignorowi; był on oszczędny i dbał o to, żeby odkładać wszystko, co będzie mógł zaoszczędzić z dwustu tysięcy franków, wyznaczonych na koszt reprezentacji. Widząc go pochłoniętym temi nędznymi kłopotami w chwili, kiedy wypadki się wikłały coraz bardziej i wymagały całej uwagi ambasadora, teść mój postanowił ofiarować mu apartament, zajmowany przez księcia Murata. Pan de Pradt przyjął, nie kładąc się bardzo prosić. Tym sposobem zaznajomiliśmy się z tysiącznemi małostkami, z jakich składało się jego życie i tym sposobem wyrobiliśmy sobie o nim sąd.

Armia polska, skompletowana już całkowicie, dzięki zapalowi, z jakim ją organizowano, otrzymała rozkaz wymarszu. Wyruszyła, gromadząc w swoich szeregach najświetniejszą młodzież; ani jednego nazwiska historycznego nie zabrakło przy apelu.

Byliśmy wszyscy przekonani o powodzeniu wyprawy, ale za wiele było osobistych nieszczęść, których się obawiano, ażeby nie doznawać okropnych niepokojów; wiedzieliśmy, że wszyscy się narażali na niebezpieczeństwa, prowadzeni przez wodza, który sam miał dawać przykład zuchwalstwa.

Kiedy przedsięwzięto wszystkie ostrożności, cesarz wyraził życzenie, żeby mógł widzieć starego księcia Czartoryskiego, ojca księcia Adama, wyniesionego na godność marszałka sejmu.

Matuszewicz, minister spraw wewnętrznych, człowiek nieskończenie rozumny, wszystko zawdzięczający staremu księciu, udał się do Puław, ażeby zobowiązać swego dobroczyńcę, iżby nie odmówił złączenia swego czcigodnego nazwiska z tym wypadkiem, tak ważnym. Mówiono o wrażeniu, jakie wywoła się w całym kraju, gdy na czele podpisów, położonych na akcie konfederacyi, ujrzy się podpis starca powszechnie szanowanego, którego olbrzymia fortuna, wiek i stanowisko społeczne robiły jakby patriarchą i z którym wiązały się nasze starożytne tradycye.

Ci, co znali do głębi myśl cesarza, przypuszczali, że jeśli Napoleon przywiązywał tak wielką wagę do tej nominacyi, to dlatego, że chciał imię ojca przeciwstawić imieniowi syna. Związany z cesarzem Aleksandrem szczerą przyjaźnią, oczarowany obietnicami, które wówczas nie były może złudnemi, książę Adam Czartoryski oczekiwał od Aleksandra tej samej Polski, która, jak się nam wydawało, mogła być osiągniętą jedynie niezwyciężoną bronią cesarza francuskiego.

Idąc z zapalem za tem urojeniem, jedyną namiętnością swego szlachtetnego życia, Adam Czartoryski wiernie służył samowładcy, a w demonstracyach Napoleona chciał widzieć tylko środek, służący do wspierania ambitnych zamiarów.

Nigdy nie zapomnę, jak raz po długim roztrząsaniu tych dwóch zdań, z których jedno stało się u niego *przekonaniem*, kiedy drugie było u mnie nadzieją, ugruntowaną na sprawie ogólnej, zawołał w najszlachetniejszym zapale:

— Jeżeli przyszłość dowiedzie, że moja nie-

ufność była niesłuszna, bez szemrania poddam się wygnaniu z tej ojczyzny, którą będziemy zawdzięczali wspaniałomyślności zwycięzcy; wystawię mu ołtarze nawet w pustyniach, dokąd mnie wyśle za karę, żem wierzył w obietnice Aleksandra.

Stary książę nie podzielał zapatrywań swego syna, lub, prawdę powiedziawszy, nie mając wcale ściśle określonych poglądów wskutek swego wieku i osłabienia zdolności, ustąpił w końcu naleganiom Matyszewicza i zajął w Warszawie wysokie stanowisko, jakie mu ofiarowano.

Popelniono nieroztropność nie do darowania, pozwolewszy mu ukazać się w eleganckim mundurze feldmarszałka austriackiego, który nosił zazwyczaj. Widok tych barw cudzoziemskich wśród zebrania patryotów nie bez słuszności dotknął przedstawicieli kraju. Urok imienia i białych włosów zniknął w znacznej części pod tym strojem, przypominającym aż nadto dobrze urazy, jakie mieliśmy do domu austriackiego od pierwszego podziału i od zniszczenia, dokonanego z taką zajadłością przez Maryę-Teresę.

Na nieszczęście, nie był to jedyny błąd, jakiego się dopuścił czcigodny starzec. W dniu otwarcia sejmu ¹⁾ do mowy swojej dołączył jakiś odcień przestarzałej rycerskości, nieodpowiedniej ani miejscu, ani okolicznościom.

Rozpocząwszy od wymownej odezwy do najszlachetniejszych uczuć, do najheroicznějších poświęceń, najzupełniejszych ofiar, zwrócił się do pań,

¹⁾ 26 czerwca 1812 r. Zob. „Dzieje Księstwa Warszawskiego“ przez Skarbka.

zapelniających trybuny; mówił o patryotyzmie, którego dowody powinny złożyć małżonki, matki i siostry.

Stara księżna, zarówno jak i jej córki, znajdowały się na sali. Odpowiadały okrzykami i przysięgami, wyglądającemi bardzo śmiesznie.

Kokardy w kolorach narodowych, przedtem już przygotowane, były rozrzucane i rozdawane między wszystkich obecnych. Wiele z tych kokard wysłano do głównej kwatery przez kuryera, którego natychmiast wyekspedyował ambasador, ażeby oznajmić cesarzowi wrażenie, sprawione przez otwarcie sejmu.

Ta galanterya, trącająca wspomnieniami przeszłości, i ten niewieści patryotyzm w sali sejmowej, gdzie miały być roztrząsane najważniejsze sprawy, nie mogły nie wydać się niewłaściwemi, a wielu rozsądnych ludzi zasmuciło to. Księżę ze swoim imieniem i swemi osiemdziesięciu latami, byłby wywołał inne wrażenie, harmonizujące z okolicznościami, gdyby wzywając Polaków *do broni*, zadowolił się tylko wskazaniem im nowej drogi, otwierającej się przed nimi; nie trzeba było ani teatralnego uniesienia, ani hałaśliwych demonstracyj. Nic łatwiej nie wzruszy nad uczucia wzniosłe i głębokie, wypowiedziane prosto.

Ambasador odpowiedział na mowę marszałka z dyplomacją tak dwuznaczną, że odpowiedź jego, ażeby była zrozumiana, musiałaby być *wytlómaczona* i jak to bywa w takich razach, każdy wykladał ją na swój sposób; w jednym tylko zgadzano się, że cesarz nie chciał się jeszcze do niczego zobowiązywać.

III.

De Pradt.

Smoleńsk.—Śmierć hrabiego Grabowskiego.—Zebrania w ambasadzie francuskiej.—Król westfalski w Warszawie.—Pani Walewska u Pradt'a.—Obiad wiejski.—Krewni.—Improwizacya pana Brévannes.—Francuzi.—Podarunek ambasadora.

Napoleon doszedł aż do Wilna, nie napotyając najmniejszego oporu; powinien był domyślić się, że nieprzyjaciel chciał go wciągnąć w sam środek Rosyi. Zatrzymał się kilka dni w tej stolicy Litwy, utworzył tam rząd tymczasowy, podobny do rządu Księstwa. Powołano pana Bignon na kierownika tej nowej ambasady. Z Wilna wyruszył Napoleon na Smoleńsk, rozdzieliwszy swoje olbrzymie wojsko.

Po każdym przejściu rzeki ambasador otrzymywał kuryera, który miał zanieść do Paryża biuletyn, przeznaczony do „Monitora“, i udzielał nam wiadomości. Ludność przyjmowała je z uniesieniem, miasto wspaniale się oświeślało i tłumnie przybiegano wypytywać o szczegóły, które żywo zajmowały tych wszystkich, co mieli w wojsku krewnych lub przyjaciół.

Pierwszym ważnym biuletynem był ten, który oznajmił o wzięciu Smoleńska, gdzie szturmem dowodził osobiście sam cesarz. Polacy dokazywali tam, jak i wszędzie, cudów odwagi. We wszystkich kościołach odśpiewano *Te Deum*; ale kiedy upojenie zwycięstwem ustąpiło miejsca trwogom bardzo naturalnym, rozpytywano się o nieuniknione straty, jakie miano oplakiwać. Bohaterska śmierć generała Michała Grabowskiego, zabitego w chwili, kiedy na czele swojej brygady pierwszy rzucił się na szaniec miasta, wywołała szczery żal i wstrzymała na chwilę radosne objawy. Był to jeden z tych ludzi, co choć młodzi jeszcze, jedną są sobie ogólne przywiązanie. Był on bratem mojej przyjaciółki ¹⁾, widywałam go często. Jego biedna siostra uparła się nie wierzyć w swoje nieszczęście, gdyż ciało generała nie zostało odnalezione; długo myślała, że brat jej dostał się do niewoli.

Od chwili, kiedy ambasador zamieszkał w pałacu Brühlowskim, bogato dla niego urządzone, oznajmił, że jego zamiarem jest co tydzień przyjmować i wyprawiać tańce dla młodzieży. Ale ten projekt napotkał na wielką przeszkodę; oprócz młodzieńców z ambasady, w całym mieście nie było ani jednego osobnika w wieku stosownym do tańczenia walca: wszyscy byli w wojsku! Trzeba więc było zrzec się tej rozrywki; zresztą panie, które się usunęły do sąsiednich wiosek, nie były wcale w usposobieniu zadosyćczynienia usilnym zaproszeniom Jego Eminencyi, gdyż z trwogą oczekiwały wiadomości z głównej kwatery.

¹⁾ Pani Sobolewskiej.

Dlatego też pierwsze zebrania w ambasadzie były ponure i smutne; świeciły pustkami. Dowiedziano się, że cesarz kazał sobie szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, co się działo w Warszawie; mówiono sobie, że niezawodnie będzie dotknięty temi objawami smutku, być może w gruncie rzeczy słusznymi, ale niewłaściwymi, ze względu na jego przyjazne usposobienie, jakiego nam dał dowody, więc panie zmuszone były ukazywać się od czasu do czasu.

Przyjazd młodego króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, ożywił trochę miasto. Dowodził on pułkiem rezerwowym; miał rozkaz połączenia się z cesarzem, ale nie mogąc wojsk swoich zmusić do takiej samej szybkości co dwór, był zmuszony zatrzymać się w Warszawie. Twierdzono nawet później, że niezbyt trudnemu w wyborze osobistości, jakie przypuszczał do zażyłości, tak dobrze było mu w kraju, gdzie piękność kobiety nie była ani rzadką, ani wyjątkową, iż ambasador otrzymał rozkaz wyprawienia go. Bądźco bądź, przybywszy, grał rolę króla, oznajmił, że urządzi zebranie i przyjmie te panie, co zapragną być mu przedstawionemi. Wydało się to zupełnie niestosownem ze strony monarchy dwudziestoletniego ¹⁾, znajdującego się tu w przejściu i bawiącego się tak koroną, jak dzieci bawią się w dorosłych.

Nastąpił więc rozłam; jedne poszły, większa część zbuntowała się przeciwko przymówkom amba-

¹⁾ Heronim Bonaparte urodził się w 1784 r., a więc w r. 1812 miał lat 28.

sadora, który twierdził, że nie można „niczego odmawiać bratu Napoleona.“ Księżę obraził się brakiem gorliwości, jaki okazały damy, chciał wydać bal, ale zjawily się te same przeszkody, które wstrzymały pana de Pradt.

Trzeba było poprzestać na obiadach, dość nudnych; etykieta, przestrzegana z wyjątkową ścisłością, powyłączała z nich ludzi przyjemnych, których położenie społeczne nie upoważniało do zajęcia *miejsca* w obecności króla.

Myśmy nie mogli się poddać wymaganiom cesarskim, mieliśmy przyzwyczajenia za bardzo republikańskie.

Niesłusznie posądzają Hieronima, że był pozbawiony zdolności, miał on umysł bystry i trafny. Gdyby miał o jeden stopień więcej uprawnienia, a o jeden mniej dziecinnej próżności, byłby uchodził za znakomitego księcia; ale, zepsute dziecko fortuny, używał i nadużywał jej łask. Była to historia wszystkich prawie członków tej rodziny. Każdy z nich, *oddzielnie* wzięty, posiadał niezaprzeczone zalety, ale przygniatała ich wielkość Napoleona. Nie było śmieszności, którychby nie opowiadano o zwyczajach tego młodego króla. Twierdzono, że co rano kąpał się w araku, a co wieczór w mleku; jego służba napępiała, jak mówiono, płynem butelki i sprzedawała z *ustępstwem*.

Tak daleko posuwał elegancję, że nigdy dwa razy nie kładł jednego ubrania, tak, że pewien kapelusznik z Paryża, któremu był winien znaczną sumę, wytoczył mu jeden z najnieprzyjemniejszych procesów. Cesarz nie chciał nigdy słyszeć o długach

swego brata, a królik westfalski nie był w stanie żyć na tak wielką skalę, nie naruszając swego budżetu.

Sądzę, że ambasada *odetchnęła* po jego wyjeździe; ale zaszła inna wizyta, która wykazała w całej pełni nietakt ambasadora.

Podczas lata przybyła do Warszawy pani Walewska, podając za powód sprawy rodzinne, wymagające jej obecności. Nikogo nie oszukał ten powód. Ponieważ nigdy nie zajmowała się swojemi sprawami i ponieważ jej drobna posiadłość była wydzierżawiona, łatwo było odgadnąć, że prawdziwą przyczyną tej podróży była nadzieja, że zostanie zawezwana do głównej kwatery. Ale Napoleon od czasu swego małżeństwa wystrzegał się wszelkich pozorów płochości.

Podczas kilkodniowego pobytu piękności w Warszawie monsignor uważał za swój obowiązek traktować ją jako fac-simile cesarzowej. Miała ona pierwszeństwo przed wszystkimi damami. Na wystawnych obiadach jej *pierwszej* usługiwano, siedziała na honorowem miejscu i otrzymywała wszystkie hołdy, jak również wszystkie oznaki uszanowania...

Widocznie dotknęło to starsze damy, a zasępiło ich mężów; tymczasem zaś młode kobiety, niezbyt dbające o etykietę, śmiały się bez żenady z miłośnej ekstazy, z jaką monsignor arcybiskup lornetował ładne ramiona i białe, pucolowate ręce małej hrabiny.

Wyrobiła się ona nadzwyczajnie podczas swego pobytu we Francji. Nabrała tam *skromnej pewności siebie*, trudnej do utrzymania w dwuznacznem położeniu, w jakim się znajdowała. Zmuszona strzedz

się Maryi Ludwiki, bardzo zadrosnej, jak mówili, pani Walewska potrafiła wpośród paryżan wzbudzić wątpliwość co do tajemnych stosunków, jakie zachowała z cesarzem. To też była to jedyna z miłostek, której Napoleon nagle nie przerwał. W chwili, kiedy szczęście go opuściło, pani Walewska uważała się za upoważnioną do rzucenia matki i pojechała za cesarzem na wyspę Elbę; ale on zganił ten postępek, a przyjaciółka, poświęcająca się w nieszczęściu, ujrzała się oddaloną ze względu na niewierną małżonkę.

Zbyt niedyskretna gorliwość pana de Pradt sprawiła, że piękność gwałtownie opuściła Warszawę; była widocznie zmieszana i wołała zamknąć się w swojej skromnej siedzibie, gdzie oczekiwała wyniku wypadków.

Mąż mój, idąc za ogólnym prądem, udał się do Wilna, gdzie zajął stanowisko ¹⁾ w tymczasowym rządzie, który cesarz tam uorganizował. Przez ten czas zostawałam z memi dziećmi w Natolinie i zajmowałam się urządzeniem tej rozkosznej rezydencji.

Pan de Pradt, chcąc osobiście ocenić to letnie mieszkanie, o którem słyszał, napisał do mnie, *zapraszając się na obiad*. Byłam tembardziej zdziwiona tą *serdecznością* i tą *bezceremonialnością*, że nie zrobiłam nic, ażeby wywołać taką *prośbę*; odpowiedziałam wszakże, jak wypadało. Niezadługo ujrzeliśmy zatem pana ambasadora w powozie, ciągnionym przez dwa jego grube konie andaluzyjskie. Ponieważ dzień był niezwykle gorący, pan de Pradt bardzo się zmęczył. Jak tylko trochę odpoczął, zaczął opowiadać

¹⁾ Aleksander Potocki był wielkim koniuszym.

stare swoje anegdoty, z których najświeższe dawały się z czasów pani Pompadour, z wycieczek do Marly i zamilkł dopiero w chwili, kiedyśmy przeszli do sali jadalnej. Tam jeszcze musieliśmy poddać się długim rozprawom przy każdym daniu; dziwił się, że w Polsce można mieć tak dobrą kuchnię i tyle o tem mówił, że musiałam go objaśnić, iż mój kucharz jest *Francuzem!* Jego zdziwienie było nadzwyczajne, nie przestawał zasypywać mnie pytaniami o imię jego, miejsce urodzenia, szkołę, w której się uczył. — Nie znałam tych wszystkich szczegółów, to też przyszło mi na myśl zawołać samego mistrza. Urzędnicy z ambasady, zawstydzeni tą drobną sceną, dość śmieszłą, widocznie nad nią boleli. Wstałam od stołu, dając za powód późną godzinę i przechadzkę, jaką mieliśmy odbyć.

Na to wezwanie całe towarzystwo udało się na folwark, gdzie czekały na nas powozy, podczas kiedy ambasador pojechał z powrotem do miasta.

Była to pora i godzina, w której komary są najdokuczliwsze. Możliwyby rzec, że złośliwa wróżka wezwała je do tej rozkosznej posiadłości, aby nie pozwolić, iżby się miał ktoś czuć w niej, jak w raj. Mówię tu o nich dlatego, że ta dokuczliwość wywołała zachwycającą improwizację. Najmłodszy z audytorów, o którym już mówiłam, pan de Panat, bardzo zajęty swoją godnością, jak również swoją *malenką osobką*, wydawał gorzkie skargi i zagłuszał nas przenikającymi krzykami, jakie wywoływało każde nowe ukłócie, tak dalece, że pod koniec przechadzki zawołał, że umarł, że ostatni z jego wrogów dobił

go i że ponieważ te *kanibale* zjadły go, nie pozostało mu nic innego, jak być pochowanym. Zachwycona, że mogę wznieść w parku jeden więcej pomnik, podałam konkurs na nagrobek. Oto nagrobek pana Brévanres, który mi go oddał po kilku minutach; napisał go w swoim notatniku, wciąż się przechadzając. Da on próbę trafności i wdzięku jego dowcipu:

D'un auditeur ici le tiers repose,
 Plaiguez sa mort et celle du cousin,
 Qui pour avoir mangé si peu de chose
 Mourut de faim!... ¹⁾

Pan Panat, równie jak i my, był zachwycony tym czterowerszem; wyśmiewał sam siebie z wesołością całkiem francuską.

Narodzie miły o tyle, o ile dowcipny, rozkoszny kraju, którego być może nigdy już nie ujrzę, którego przyjemności tak ceniłam i o którym tak żywe zachowałam wspomnienie, przyjmij na tem miejscu mój hold!... Gdybym miała rozpocząć na nowo tę uciążliwą pracę, którą *nazywają życiem*, to chciałabym urodzić się Francuzką!... Nie dlatego, ażebym miała zapierać się mojej ojczyzny, uchwaj Boże! im więcej jest ona gnębiona, tem więcej ma praw, aby być drogą swoim dzieciom. Ale gdyby się miało wybór, zanim się *przyjęło zobowiązania*, czyż nie byłoby dozwolonem poprawić swego losu, ażeby uniknąć tylu nadziei zawiedzionych, tylu nieszczęść niepowetowanych?

¹⁾ Tu spoczywa trzecia część audytora, oplakujcie jego śmierć i śmierć komara, który za to, że zjadł tak mało, zmarł z głodu!..

Byłam wówczas w tej epoce życia, kiedy przyszłość przedstawia się zawsze lepszą, niż ma być w rzeczywistości, jakby chciała pocieszyć za chwilę obecną. Dzisiaj, kiedy zmartwienia bardziej jeszcze niż lata postarzyły mnie, żałuję przeszłości i mało liczę na przyszłość; nie potrafi ona oddać mi tego wszystkiego, co utraciłam.

Powróćmy do pana de Pradt, ażeby już o nim nie mówić. Kiedy miał opuścić nasz dom dla zajęcia pałacu Brühlowskiego, raczył pomyśleć o zostawieniu memu teściowi jakiejś pamiątki. Podziwiał w Wilanowie piękną galeryę obrazów hrabiego Potockiego, a widząc, że teść mój, który zebrał te obrazy, był amatorem i znawcą zarazem, poprosił go o pozwolenie ofiarowania sobie arcydzieła.

— Nie zepsuje on zbioru—rzekł.

Mój teść bronił się, jak mógł, ale nie chcąc narażać się ambasadorowi, w końcu przystał.

Obraz, który ofiarowywał, znajdował się w pałacu biskupim w Mélines (Mechlinie), trzeba więc było dość długiego czasu na sprowadzenie go.

— Będzie to pewnie Madonna szkoły flamandzkiej—mówił mój teść;—niebardzo ja je cenię, bo prawie wszystkim tym Madonnom brak szlachetności.

— A gdyby to był Albert Dürer¹⁾, albo Holbein²⁾—zauważyłam.

¹⁾ Albert Dürer, najznakomitszy malarz niemiecki, ur. 1471, zm. 1528 r.

²⁾ Jan Holbein, znakomity również malarz niemiecki, ur. 1498, zm. 1554 r.

I tak bawiliśmy się odgadywaniem, jak wysoką będzie artystyczna wartość podarku, który nic nie kosztował tego, co go ofiarowywał.

— Zamieszczą go w rachunku ambasady, jako *własność narodową*—rzekł mój teść.

Skrzynia tak długo oczekiwana wreszcie przybyła. Wyjęto najszkaradniejszy z bohomazów. Był to portret rozbójnika, słynnego niegdyś w okolicy arcybiskupstwa. Ale co robił ten obraz w pałacu, przylegającym do katedry, tego nigdy pan de Pradt nie umiał nam objaśnić.

Z wielkim trudem ukryłam moje zdziwienie; mój teść, którego uprzejmość była niezwykłą, udał zachwyty, a pan de Pradt odszedł przekonany, że wywiódł w pole swego gospodarza. Arcydzielo zajęło miejsce na strychu w Wilanowie.

IV.

O d w r ó t.

(1812—1813)

Pierwsze wiadomości o klęskach.—Przybycie Napoleona do Warszawy.—Obiad w *Hotelu Angielskim*.—Pani Walewska.—Pułkownik Wąsowicz, jego opowiadanie o przybyciu do Drezna.—Powrót żołnierzy.—Ksiązę Poniatowski.—Jego *dup*.—Możajsk.—Orły.—*Kukulka*.—Zapał patryotyczny.—Odjazd księcia Poniatowskiego.—Jego pożegnanie z hrabiną Potocką.—Jego testament.

Biuletyny aż do Moskwy były wspaniale—nieprzyjaciel cofał się; zapewniano nas, że uciekał, a myśmy temu wierzyli z bardzo prostej przyczyny, że takie były nasze najdroższe pragnienia.

Nie będę wdawała się w opowiadanie wypadków tak znanych i o których wielokrotnie jeszcze będą mówili zdolni pisarze. Zapiszę tylko okoliczności, będące w związku z Polską, i wrażenia, jakich myśmy doznawali.

Podczas zimy 1812 r. zebrania w ambasadzie stały się świetnymi; — udawano się tam z tem większym pośpiechem, że tylko na wieczorach u pana de Pradt zasięgnąć można było tak niecierpliwie oczekiwanych wiadomości. Kiedy kuryerzy nie przyby

wali, przypisywano to ostrości pory, która sprawiała, że drogi były nie do przebycia. Rozumiało się samo przez się, że nie było czego się niepokoić.

Kiedy przechodzę pamięcią te różne wzruszenia, jakie zrodziły wypadki, nie mogę się dostatecznie wydziwić naszemu głupiemu i niepojętemu spokojowi.

Kłęski, mające spaść na armię, przewidywała tylko mała garstka alarmistów. Wiadomość o spaleniu Moskwy była pierwszym znakiem niepowodzeń. Tymczasem ambasador przedsiębrał wszystkie możliwe i niemożliwe środki dla podtrzymania tych złudzeń, któreśmy pragnęli zachować. Kuryerzy, wysyłani z wojska do cesarzowej, kierowani byli wprost na Berlin; ani jeden list nie przychodził pocztą, wszystkie przejmowano. Zdawało się, że pan de Pradt wziął za dewizę: ludzić, oszukiwać i wydawać wspaniałe obiady.

Nagle zabrakło zupełnie wiadomości i niepodobna było ukrywać tego, co się działo. Wierny zadaniu, jakie sobie postawił, ambasador chciał jeszcze raz zmusić nas do tańca. — Ale ten ostatni bal był tak ponury, że zdawało się, iż asystujemy raczej jakiemuś pogrzebowi, niż wesołej uczcie.

Teść mój udzielił mi w tajemnicy wiadomości, jakie wciąż ukrywano z uporem, i wymógł, żebym się na ten bal udała. Włożyłam czarną aksamitną suknię, aby mieć wymówkę, że nie tańczę. Pan de Pradt udawał, że go obrazila ta toaleta, tak mało zastosowana do okoliczności, wielokrotnie powtarzał mi, że nie jest odpowiednia do mego wieku. Ale podczas kiedy on robił honory domu z miną najspokojniejszą w świecie, mówiono sobie na ucho, że amba-

sada właśnie przed chwilą otrzymała rozkaz być gotową do odjazdu i że się pakowano.

Im mniej oczekiwanym był cios, tem żywiej go odczuto. Warszawa wpadła w jakieś nieme osłupienie. Wszystkie rodziny, mające w wojsku ojców, braci, mężów, ogarnął straszliwy niepokój. Zbliżano się do siebie ze drżeniem. Tym razem jednak wyobraźnia została daleko po za okropną prawdą. Dowiedzieliśmy się naraz o wszystkim— gdyż wiadomości ukrywano przeszło przez dwa tygodnie. Świetne pozory, które nas omamity, rozwiały się nagle. Zrozumieliśmy, że najrozpaczliwsze wysiłki nie mogły nadal przedłużyć tej walki, w którą włożyliśmy wszystkie nasze nadzieje. Ten dramat wielu miesięcy zakończył się w przerażający sposób ruiną kraju i niezliczonymi nieszczęściami osobistymi. Napróżno starano się przedłużyć powątpiewanie o losie tych, co poświęcili wszystko. Przygnębienie było ogólne; nie można było pocieszyć się widząc, że znika jedyna sposobność sprzyjająca wskrzeszeniu Polski. Nie można było już marzyć, żeby Napoleon odzyskał przewagę na Pólnocy i mógł na przyszłość dyktować jej prawa.

Dziesiątego grudnia mróz był trzaskający, 24-stopniowy. Zgromadziliśmy się smutni koło ogniska rodzinnego i oplakiwaliśmy nieopisane zuchwalstwo, z jakim wielki człowiek uparł się, by narazić swoją potęgę i chwałę. Nagle przyszedł ktoś od ambasadora i tajemniczo wywołał mego teścia. Wszyscy z dnia na dzień oczekiwali wyjazdu pana de Pradt; dlatego też pierwszą myślą naszą było, że szło o wizytę pożegnalną.

Upłynęły dwie godziny, pełne niepokoju. Cokol-

wiekby zaszło, musiało nas przestraszyć—niepodobna było spodziewać się nic pocieszającego.

Wreszcie po długiem oczekiwaniu wrócił hrabia Stanisław Potocki, widocznie wzruszony i dał nam do zrozumienia, kto był tą osobą, z którą rozmawiał. Był to cesarz Napoleon, który poświęciwszy swemu straszmemu kaprynowi milion ludzi, zwyciężonych przez żywioł niszczycielski, wracał *sam jeden*, ale wcale nie zgnębiony, a jeszcze mniej *zrażony*. Jego czarodziejski geniusz pozwalał mu widzieć we Francyi ogromne środki i możliwość wprowadzenia ich w ruch, ażeby nanowo uchwycić wymykające mu się już z rąk berło świata.

Mówił o klęskach, nie usiłując ich taić, ani nawet zmniejszać ich okropności. Przyznał się do swoich błędów, zrobił aluzję do nadmiernego zaufania, jakie pokładał w swojej gwieździe, która aż do tego fatalnego czasu zdawała się panować nad żywiołami; przytoczył wszystkie przyjazne widoki, jakie przyszłość mogła ukazać, zrobił treściwy rzut oka na politykę europejską i z rzadką przenikliwością wyliczył wypadki przyjazne i nieprzyjazne, jakie się mogły zdarzyć. Nie burzył naszych nadziei, ale zachęcał do wysiłków, przyrzekł, że wróci na czele nowej armii, jednym słowem, przelał w duszę swoich słuchaczy ogień, którym pałały jego słowa. Urok, jaki ten niezwykły człowiek wywierał na wszystkich, co go słuchali, był tak potężny, że teść mój, który opuścił nas całkiem zgnębiony, wrócił pełen nadziei. A jednak nie był już w wieku złudzeń; umysł jego, równie bystry, jak trafny, dążył do pewności we wszystkich poważnych sprawach.

My, cośmy nie byli obecni przy rozmowie pę-
 tężnego czarodzieja i nie znajdowaliśmy się pod jego
 urokiem, pozostaliśmy przygnębieni. Chodziło nam
 tylko o terażniejszość, a przedstawiała się ona, jak
 straszliwe widmo. Po przez te krwawe widzenia przy-
 szłość, która już nas zdradziła tyle razy, ukazywała
 się ciemną i rozpaczliwą.

Pan de Pradt w ogłoszonym przez siebie o-
 wiadaniu o swojej ambasadzie, usiłując ośmieszyć tę
 ważną rozmowę, ukazał się w świetle niezbyt korzy-
 stnem. Aż do końca grał rolę płatnego pochlebcy,
 okazując się pełnym zachwyty dla projektów swego
 pana, jak również dla zdania, tak często odtąd po-
 wtarzanego: *Od wielkości do śmieszności jest jeden
 tylko krok.* Usunął się dopiero, dokonawszy mnóstwa
 protestacyi.

Z wielkiem zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że
 Napoleon, zamiast zajechać do ambasady, udał się do
 hotelu Angielskiego, gdzie zjadł obiad. Może być, że
 myślał w ten sposób zapewnić swoje incognito ogro-
 mnie nie w porę; gdyż wysiadł przy wjeździe na most
 praski i przeszedł całe Krakowskie-Przedmieście w go-
 dzinie, kiedy ta dzielnica miasta jest najruchliwsza,
 ubrany w szubę z zielonego aksamitu ze złotymi ha-
 ftami i w sobolowej czapce. Rzecz zadziwiająca,
 iż nikt go nie poznał, ani szedł za nim. Pochłonięci
 wypadkami, ludzie nie mogli przypuścić, ażeby cesarz
 znajdował się już za Wisłą, podczas, kiedy myślano,
 że był jeszcze zagrzebany w lodach Dźwiny.

Towarzyszyli mu tylko pan Caulaincourt i puł-
 kownik Wąsowicz, oficer służbowy, którego męstwo
 i poświęcenie były mu znane. Rustam, mameluk,

otrzymał rozkaz nieopuszczania powozu i przyjścia do hotelu dopiero o zmroku, w chwili, kiedy wszystko będzie gotowe do wyjazdu.

Siadając do stołu, Napoleon posłał po ambasadora i wydał mu rozkaz, żeby poszedł po prezesa rady, jako też po dwóch ministrów ¹⁾, z którymi chciał się rozmówić.

Konie zamówiono na poczcie na imię pana Caulaincourt'a — był to sposób zachowania incognito — i wyjechało około 9-tej wieczorem. Oto anegdota równie ciekawa, jak mało znana. Przejeżdżając przez Łowicz, Napoleon chciał skrócić z drogi, ażeby odwiedzić panią Walewską, która, jak to powiedziałam, żyła samotnie w swoim zamku.

Pan Caulaincourt, któremu cesarz zwierzył się ze swoim zamiarem, sprzeciwił się bardzo żywo tej zachciącej kochanka; miał odwagę przedstawić całą jej *nieprzyzwoitość*, opierając się na wrażeniu, jakie taka lekkomyślność wywarłaby na cesarzowej, jak również na tych wszystkich, którzy nie przebaczyliby Napoleonowi, że myślał o swoich miłostkach wówczas, kiedy opuścił armię w rozsypce. Podąsawszy się przez kilka minut, cesarz, zbyt sprawiedliwy, ażeby mieć urazę do tego, co mu dał nowy dowód przywiązania i zdrowego rozsądku, oświadczył Caulaincourt'owi szacunek i przyjaźń, które przynoszą zaszczyt tym dwom ludziom. Pułkownik Wąsowicz, świadek tego zajścia, które miało miejsce w ko-

¹⁾ Byli to Mostowski i Matuszewicz, ludzie wielkich zdolności i wielkiej zasługi. (Przypisek autorki.)

czu, nie będąc związanym tajemnicą, opowiedział mi ją w bardzo dowcipny sposób.

Zawdzięczamy mu również ciekawe szczegóły o przyjeździe cesarza do Drezna. Jedynym wiernym sojusznikiem, który mu pozostał, był król saski; chciał on rozmówić się z tym władcą o środkach, jakie miał przedsięwziąć. Przybywszy o północy do pana Serra i nie chcąc tracić ani chwili, powierzył pułkownikowi Wąsowiczowi rozkaz udania się natychmiast do zamku królewskiego i zbudzenia króla, którego snu nie zakłóciło nic od niepamiętnych czasów. Straż i szyldwach spali także; przeto po zwyciężeniu dopiero ogromnych trudności, dostał się cesarski poseł aż do apartamentu króla. Ten, rozbudzony nagle przez oficera, z wielkim trudem zrozumiał, że Napoleon, przejeżdżając przez jego stolicę, prosił go o chwilę rozmowy; gdy mu Wąsowicz rzecz wyjaśnił, kazał się pośpiesznie ubrać i wsiadł do lektyki, ażeby się udać do ministra, ponieważ stajnie dworskie znajdowały się na przedmieściu i za wiele potrzebaby było czasu, ażeby mieć kareteę o tej nocnej godzinie, w której nigdy jeszcze nic nieprzewidzianego nie zaszło. Nadedniem rozległ się krzyk, że król zniknął i że nie wiadano, co się z nim stało. Popłoch był wielki. Szambelanie, paziowie i laufry rozbiegli się po mieście, roznoząc tę dziwną wieść, która wyjaśniła się wtedy dopiero, kiedy cesarz był już na drodze do Paryża.

Wkrótce po przejeździe Napoleona wracali jeden po drugim ci z naszych żołnierzy, którzy byli w stanie przenieść podróż. Jedni byli okryci gałganami, nie mogącemi ochronić ich od zimna, drudzy, szczęśliwsi, mieli na sobie kobiece szuby.

Ujrzeliśmy przybywającego hrabiego Artura Potockiego, adjutanta księcia Poniatowskiego, na saniach krytych, chorego na nerwową gorączkę.

Księżę Poniatowski wrócił jeden z ostatnich. Podróż jego była długa i uciążliwa; zwichnął sobie nogę, zsiadając z konia, i był zmuszony leżeć w swojej karecie, doznając bólu nie do wytrzymania przy najmniejszym poruszeniu.

Jak tylko dowiedziałam się o przybyciu księcia, pobiegłam ucałować jego rękę. Rysy jego, wykrzywione cierpieniami, wyrażały raczej boleść duszy, niż cierpienia fizyczne. Gorzko żałował tego pięknego wojska, dziesiątkowanego w jego oczach—opłakiwał bohaterką śmierć tylu dzielnych, poświęconych niepojętej nieostrożności wielkiego człowieka, któremu jednak mimo wszystko pozostał wierny. Zdawało mi się, że spostrzegłam, iż nie stracił całej nadziei i byłam tem więcej zdziwiona, że należał do niewielkiej liczby tych, co poświęcając się, nie zaślepiali się co do prawdopodobnego wyniku tak olbrzymiej walki. Oznajmił, że pobyt jego w Warszawie potrwa krótko, że kiedy zgromadzą się niedobitki armii polskiej, zajmie się czynnie nową organizacją wojsk. Dodał, że na karnawał będziemy mieli austriackich oficerów, mniej miłych, niż Francuzi, ale znakomitych tanecerzy. Była to przymówka do pułku księcia Schwarzenberga, na którego Napoleon liczył jeszcze—ostatnie złudzenie, krótko trwające; jak tylko wojsko polskie przeniosło się do Krakowa, generał austriacki wydał Warszawę Rosyanom i od tej chwili zdrada stała się jawną.

Zauważywszy olbrzymią księgę koło łóżka księcia, zapytałam go, śmiejąc się, czy nie są to jego pamiętniki?

— Ach! alboż to mamy czas do pisania!—rzekł.— Weź tę księgę na pamiątkę—to *mój łup*. Kazałem to podnieść na gościńcu i czytałem dla rozrywki. To „Podróż na Wschód”—zachowaj ją dla swoich dzieci, lata dodadzą jej wartości. .Wiesz, że jak się spodziewałem, przeszliśmy przez Moskwę wśród opuszczonych skarbów *z bronią na ramieniu*, żaden z moich nie wyszedł z szeregu.

Te kilka słów wypowiedział z jakimś dumnym zadowoleniem, błyszczącym w jego spojrzeniu.

Nie mogłam powstrzymać się od przypomnienia mu innej okoliczności; było to przy szturmie na tę baterię, której wzięcie rozstrzygnęło o pamiętnem zwycięstwie pod Możajskiem. Słuchał mnie ze skromnością, charakteryzującą go, a tak mało robił sobie z darów, jakimi go obdarzyła natura, że jego niezwykle męztwo wydawało mu się właściwością wszystkich zdrowych ludzi, bo nie wierzył w tchórzów.

Wkrótce po jego powrocie, podczas kiedyśmy z najżywszem zajęciem słuchali opowiadania jego o wojnie, przyszedł jakiś adjutant, ażeby go uprzedzić, iż większa część żołnierzy prosiła o pozwolenie złożenia orłów swojemu dowódcy

Nie mogąc chodzić, książę kazał się zanieść na dziedziniec; poszliśmy za nim. Byłam wówczas świadkiem wzruszającej i wspaniałej sceny. Jak tylko Poniatowski zjawił się na tarasie, wszyscy ci dzielni zgromadzili się koło niego, składając swoje orły u stóp jego. Żołnierze ani na chwilę nie stracili z oczu tych

sztandarów; w chwili, kiedy inni myśleli tylko o ocaleniu swego życia, oni myśleli o honorze pułku. Brakowało jednego tylko z tych orłów. Księżę zwrócił na to uwagę z rzewnym uśmiechem.

— Ach! — krzyknęli wszyscy naraz — jest tam ta *kukulka*, ale ponieważ kula armatnia oberwała jej głowę, nasz towarzysz wstydził się pokazać ją w tym żalonym stanie!... Chodź, chodź, zbliż się, to nie twoja wina!

Wszyscy śmieli się do rozpuku i ujrzano zbliżającego się dwudziestoletniego młodzieńca, z ręką na temblaku; wyciągnął z kieszeni poszarpanego płaszcza *kukulkę*, jak ją nazywali, i kładąc ją z zakłopotaną miną obok innych, tłumaczył się, że przyniósł tego orła tak uszkodzonego.

— Dlatego, że towarzysz jest jeszcze młody — rzekli najstarsi — i zawsze wysuwał się naprzód!

Nie mogąc dłużej powstrzymać swego wzruszenia, księżę obcierał ukradkiem oczy. Żołnierze zapewne wyobrazili sobie, że księżę był zmartwiony i by go pocieszyć, oznajmili mu, że wkrótce powrócą mu jego armaty.

— Niech wasza książęca mość będzie spokojny — mówili — ci, co je prowadzą, nie mogą tak pośpieszać, jak my, gdyż to daleko cięższe. Ale przyjdą za kilka dni. Kiedy nam konie pozdychały lub kiedyśmy je zjedli, sami zaprzęgaliśmy się do naszych armat... Bądź tylko zdrow, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze!... Będziemy się bili, pomścimy się!... Pójdziemy za tobą chociażby do piekła.

I znów okrzyki. Czapki wylatują w powietrze, a jakie czapki, wielki Boże! — łachmany! galgany, po-

wiązane z sobą! I ludzie ci nie mieli ciepłego ubrania! byli bez butów! Najszczęśliwsi mieli nogi poobwiązane kawałkami sukna. Wszyscy przynajmniej byli weseli i zdrowi, gotowi pójść choćby nazajutrz, a nawet tego samego dnia, gdyby się tego okazała potrzeba.

Księżę kazał rozdać im wszystkie pieniądze, jakie miał w kasie. Na dziedzińcu podano im zaimprowizowany posiłek. Nalewaliśmy im wina szampańskiego; z zapalem wzniesli zdrowie swego wodza. Cała służba, będąca na usługach księcia, jak równieź domownicy, tłoczyli się kołem, kiedy oni jedni wydawali się zdziwionymi, że ich tak raczono; uważali, że spełnili tylko swój obowiązek.

Czas płynął ociężale. Jakaś bolesna odrętwiałość nastąpiła po żywych, najokropniejszych wzruszeniach!... przyszłość ukazywała się groźną.

Ten wielki bój, ten bój na śmierć — cała Europa przeciwko jednemu człowiekowi! — miał się zacząć i rozstrzygnąć o naszym losie.

Niestety! to już nie na brzegach Dźwiny, ale na brzegach Renu miał się odbyć ten olbrzymi pojedynek. Już było po szczęściu bohatera; szczątki jego tronu, waląc się, miały nas przygnieść.

Tymczasem wojsko nasze otrzymało rozkaz ruszenia do Krakowa. Księżę Poniatowski opuścił Warszawę pod koniec stycznia. Zupełnie wyzdrowiał i na odjeździe przyszedł się ze mną pożegnać. Zauważyłam, że jego piękna twarz była owiana smutkiem. Zajmowała go myśl o pożegnaniu bez powrotu; obojętny na swój własny los, myślał o losie Napoleona.

Przewidywał, że budowla europejska, wzniesiona dzięki zwycięstwom, upaść miała.

Kiedy ścisnęłam go po raz ostatni, nie mogłam powstrzymać łez; wówczas mnie wyłajał; zabronił mi żałować go, jeśli mu przyjdzie zginąć chwalebnie na polu bitwy.

— Czyż nie będę—mówił—szczęśliwy, gdy nie będę patrzył na nieszczęścia, jakie prawdopodobnie spadną na biedną naszą ojczyznę!

Widząc, że mimo słów pociechy, jakie starał się zwracać do mnie, nie przestawałam płakać, chciał nadać rozmowie mniej poważny kierunek; zauważył, że nie oceniam, albo nie rozumiem korzyści, jaką będzie miał, umierając nie zestarawszy się.

Kazał sobie przyprowadzić moje dzieci, uściskał je i prosił mnie, żebym im kiedyś opowiadała o nim i odjechał, bardziej wzruszony, niż to chciał okazać. Było to, niestety! ostatnie pożegnanie. Dowiedzieliśmy się potem, że pewien, iż nie wróci, zrobił testament.— Nic nie może być szlachetniejszego i bardziej wzruszającego nad wyrażenie ostatniej jego woli;—chciał, żeby jego zbiór broni został rozdzielony pomiędzy jego dawnych towarzyszków i żeby sumy, jakie znajdują się w jego kasach, zostały rozdane jego biednym, jak również udekorowanym żołnierzom, aby, jak mówił, *mogli raz jeszcze wypić za moje zdrowie*. Zapewnił utrzymanie dwojga dzieci naturalnych i starego kamerdynera; siostrze swojej ¹⁾ zostawił użytkowanie wszystkich swych majątków, a mnie zapisał Jablonnę. Oby p mięc jego była tam zawsze czczona i oby

¹⁾ Hrabinie Tyszkiewiczowej.

drogie pamiątki te, zebrane tam, nie wpadły w świętokradzkie ręce.

Co do mnie, sędzę, że wywiązałam się z obowiązku, jaki na mnie włożył ów zapis. Przez dziesięć lat nie pozwoliłam sobie dotknąć dochodu z tej pięknej posiadłości, używając go jedynie na jej upiększenie. Napis, położony na drzwiach biblioteki, a raczej muzeum, wypowiada myśli moje:

USTRONIE BOHATERA, STARANNIE OZDOBIWSZY,
POTOMKOM PRZEKAZUJĘ.

V.

Śmierć księcia Poniatowskiego.

(1813)

Księżę Adam Czartoryski i Cesarz Aleksander. — Propozycje cesarza rosyjskiego czynione Poniatowskiemu. — Księżę Antoni Radziwiłł, pełnomocnik króla pruskiego. — Zachowanie się Księcia Poniatowskiego. — Widzenie się Napoleona z Poniatowskim w Dreźnie. — Wojna saska. — Księżę Sułkowski. — Dąbrowski. — Hrabia Pac. — Polacy na wyspie Elbie. — Krasiński. — Pogrzeb księcia Poniatowskiego.

Wkrótce upewniliśmy się, że Austria trzymała z Rosyą. Kiedy księżę Poniatowski dochodził do Krakowa, feldmarszałek austriacki ustąpił miejsca awangardzie rosyjskiej, dowodzonej przez generała Czaplica, który, jako Polak, miał za zadanie rozrzucać proklamacje swego pana, proklamacje, pełne zapewnień i czarownych obietnic.

Od chwili, kiedy ministrowie: Matuszewicz, Mostowski i Sobolewski, na czele których stał hrabia Zamoyski, dowiedzieli się o wspaniałomyślnych zamiarach Cesarza Aleksandra, zawiązały się między nimi a emisaryuszami rządu rosyjskiego tajemne stosunki, jakie miał na oku pan Bignon, który powró-

ciwszy z Wilna, otrzymał rozkaz udania się do Krakowa za księciem Poniatowskim.

Taki był stan rzeczy, kiedy książe Poniatowski, stojący w Krakowie razem ze swoim korpusem, wciąż oczekiwał rozkazów Napoleona.

Aleksander sądząc, że jest to stosowna chwila do odcięcia nas od Francyi, ofiarował księciu jak najdogodniejsze warunki dla Polski. Przy tej to sposobności wypowiedział Poniatowski te szlachetne słowa, które go tak charakteryzują: „Nie przyjąłbym jak najlepiej ugruntowanych nadziei, jeśli trzebaby było kupić je za cenę hańby“.

Poseł rosyjski wyjechał, nic nie uzyskawszy. Prusy poszły jeszcze dalej. Książe Antoni Radziwiłł, mąż księżniczki Ludwiki pruskiej, krewnej króla, przybył do Krakowa, opatrzonej w tajemne instrukcye. Radziwiłł powiedział księciu, że nadeszła chwila, kiedy nikogo nie zadziwi, że Poniatowski ubiega się o tron elekcyjny; wykazał, że ponieważ los Polski związany jest z tak słuszną ambicyą, historia nie będzie mogła zarzucać mężnemu wodzowi, że opuścił sztandary francuskie, kiedy słusznem prawem mógł rozwinąć własne.

Tej podstępnej rozmowie towarzyszyły najpochlebniejsze pochwały.

Poniatowski odparł, że chcąc okazać się godnym szacunku, o jakim go zapewniano w imieniu czcignego monarchy, uważał za swój obowiązek odpowiedzieć z zupełną szczerością. Odrzucił więc wprost propozycye, które, prawdę mówiąc, więcej go zadziwiły niż mu pochlebily.

— Przysięgłem — dodał — nie odłączać sprawy

mego kraju od sprawy Napoleona, który jeden tylko wyciągnął do nas rękę.

Księżę Poniatowski zniewolił księcia Radziwiłła do opuszczenia Krakowa w przeciągu dwudziestu czterech godzin i uprzedził go, że zawiadomi pana Bignon o tem, co zaszło.

Od tego to dnia datuje się niezwykle zaufanie, jakie następnie Napoleon okazywał Poniatowskiemu; cesarz posunął się nawet do tego stopnia, że powziął myśl posadzenia księcia na tronie polskim, jeśli na to pozwolą okoliczności. Niestety! od tego należało zacząć! Na nieszczęście, nieufność i pogarda, jakie cesarz miał dla ludzi wogóle, krzywiły często jego sądy o osobistościach.

Widziałam list, w którym mój wuj przytaczał poufałą rozmowę, jaką miał z Napoleonem w Dreźnie w chwili, kiedy traktowano o ten pokój, co mógł być wówczas podpisany na warunkach możliwych do przyjęcia. Wskutek fantazyi dość dziwacznej cesarz wymógł na księciu, ażeby wypowiedział swój sąd w tej ważnej kwestyi. Poniatowski odrzekł bez wahania ze swoją szczerością żołnierską:

— Ponieważ wasza cesarska mość każesz, oto moje zdanie: Wydawałoby mi się roztropnem zawrzeć pokój, ażeby potem skuteczniej prowadzić wojnę.

— Być może, że masz pan słuszność — zawołał Napoleon—ale ja wydam wojnę, ażeby potem skuteczniej zawrzeć pokój. Przyszłość rozstrzygnie, kto z nas dwóch ma rację.—W tej chwili pociągnął z taką gwałtownością sznur od dzwonka, którym bawił się w czasie rozmowy, że ktoś wszedł nagle.

13 kwietnia 1813 roku armia polska otrzymała

rozkaz wyruszenia. Przeszła Czechy i zebrała się w Żytawie w Saksonii. W wiele lat potem, jadąc do Karlsbadu, przejeżdżałam przez ten piękny kraj i miałam szczęście słyszeć, że imię księcia Poniatowskiego jest kochanem i czczonem.

Lato 1813 roku ujrzało ostatnie cuda geniuszu Napoleona. Austerlitz'kie to słońce oświetliło jeszcze bitwy pod Lützen i pod Budyszynem, ale klęska pod Lipskiem dała hasło upadku olbrzyma.

Cesarz znalazł księcia Poniatowskiego w Delitz; kazał sobie wyznaczyć wszystkie punkta, gdzie nieprzyjaciel mógł próbować ataku i najważniejszy z nich powierzył męztwu Polaków.

Przez cały dzień 16 października trzymali się na swojej pozycyi, jakkolwiek siły ich były nieskończenie mniejsze od nieprzyjacielskich. W Delitz to Poniatowski otrzymał buławę marszałkowską. 19 wieczorem był wezwany do cesarza, aby otrzymać jego rozkazy.

— Książę—rzekł mu—masz bronić przedmieścia południowego i zasłonić odwrót.

— Najjaśniejszy Panie, zostało mi już bardzo mało ludzi—odparł Poniatowski—z trudem ukrywając ból, jakiego doświadczał, widząc w przeddzień, że padło trzy czwarte jego żołnierzy.

— Nic nie szkodzi! siedem tysięcy Polaków pod twemi rozkazami równa się całemu korpusowi.

— Najjaśniejszy Panie! wszyscy gotowi jesteśmy poledz.

Tam jeszcze Polacy dokazywali cudów, ale mała garstka tych, co się wymknęła nieprzyjacielowi, została później osaczona wskutek wysadzenia mostu

lipskiego. Jej bohaterски wódz widząc, że może być wziętym do niewoli, rzucił się w Elsterę; nie umiał pływać, a nadto miał rękę na temblaku i zniknął w falach tej nędznej rzeczki, ogromnie wezbranej z powodu jesiennych deszczów.

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam!“ — Takie były ostatnie jego słowa. W swojej wzniosłej prostocie streszczały one historię całego jego życia.

Nie wiedzieliśmy przez kilka dni o tej okropnej katastrofie, która dopełniła miary naszych nieszczęść. Rosyane, panowie Warszawy, taili szczegóły bitwy, lecz wkrótce dowiedzieliśmy się o tej strasznej klęsce, której wrażenie może być porównane tylko do tego, jakie wywiera zapewne trzęsienie ziemi. Kraj znajdował się w ręku Rosyan, armia nasza była zniszczona, wszystkie zasoby wyczerpane. Skromne Księstwo Warszawskie, które niedawno wydawało nam się za małe w stosunku do naszych nadziei i wysiłków, miało się stać przedmiotem wiecznych żalów.

Napoleon znalazł się w trudności, kim zastąpić księcia Poniatowskiego; nie chciał rozpuszczać tych, co zostali z wojska polskiego, zamysłał posłużyć się nimi przy zdarzonej sposobności. Wybór jego padł na księcia Sułkowskiego, który odznaczył się w Hiszpanii i którego imię wiązało się ze wspomnieniami Egiptu, gdzie jakiś Sułkowski zwrócił uwagę Napoleona i zdobył jego łaskę. Wybór ten nie był szczęśliwy. Sułkowski, jakkolwiek pełen męstwa, nie posiadał ani zdolności, ani charakteru człowieka wyższego. Zmęczony długą i nieszczęśliwą wojną, nie żądny

wcale bogactw, a mało dbający o sławę, miał jedno tylko pragnienie: wrócić do żony, którą ubóstwiał. Nie starał się zatem zupełnie o podniesienie ducha w żołnierzach, a czując, że nie podoła swemu zadaniu, podał się do dymisji.

Wówczas dowództwo powierzono Dąbrowskiemu¹⁾, temu samemu, co niegdyś utworzył pierwsze legiony polskie we Włoszech (1796).

Dąbrowski przeszedł Ren pod Moguncją i zatrzymał się w Sedanie z pułkiem bardzo uszczuplonym. Generał Flahault, adjutant cesarza, otrzymał rozkaz połączenia się z nim, ażeby mu pomódz i wypełnić luki. Nie bez trudności potrafiło utworzyć trzy pułki kawaleryi, nad któremi dowództwo objął hrabia Pac²⁾, podczas kiedy Dąbrowski, chory i bardzo już posunięty w wieku, został w Sedanie, gdzie zajął się reorganizacją korpusu piechoty.

Dzielny hrabia Pac, ciężko raniony przy oblężeniu Craon, był zmuszony usunąć się. Gdy się tak działo, Wincenty Krasieński otrzymał dekretem podpisanym w Fontainebleau 4 kwietnia 1814 r. godność generała głównodowodzącego wojsk polskich.

Nasi współziomkowie napróżno błagali o łaskę pójścia za bohaterem na wygnanie. Napoleon, wzruszony dowodami przywiązania, jakie dawali mu ci żołnierze w chwili, kiedy ujrzał się zdradzonym, wybrał trzydziestu Polaków, którzy pod rozkazami pułkownika Jerzmanowskiego odplynęli na wyspę Elbę.

Bezstronność jest smutnym obowiązkiem tych,

1) Jan Henryk Dąbrowski, ur. w roku 1755, zm. 1818 r.

2) Ludwik Michał Pac, ur. 1780, zm. 1835 r.

co piszą swoje wspomnienia, kiedy muszą odkrywać obok czynów godnych pochwały, błędy i bezceństwa.

Charakter Polaków jest wogóle połączeniem dwóch ostateczności i patryotyzmu, szlachetności, bezinteresowności bez granic, lub fanfaronady, ambicyi, niepowściągliwej próżności. Z tych to ostatnich żywiołów składał się charakter Wincentego hrabiego Krasieńskiego; ambitny bez wielkości, dworak z zasady i z zamiłowania, skończony kłamca, nie cofał się przed niczem, coby mogło sprzyjać jego szalonym zamiarom.

Chcąc uchodzić za wielkiego pana, opiekuna sztuk, zamówił u Vernet'a obraz, przedstawiający bitwę pod Somo-Sierra i miał śmiałość umieszczenia tam swego wizerunku; tymczasem wiadomo było powszechnie, że nie brał udziału w tej bitwie; dla niego dość było zrobić wystawę swej próżności. Być może, że współcześni rozgrzeszyliby go, ale po upadku Napoleona przyłączył się do Cesarza Aleksandra, stał się Rosyaninem, jak przedtem zrobił się Francuzem. Patryota Niemcewicz przezwiał go *wolontaryuszem nikiemności*.

Ostatnia łaska, zachowana mu przez los, byłaby go może zrehabilitowała w oczach współobywateli, gdyby umiał być z niej skorzystać; jednak niezwykły popęd do intryg i pragnienie wzniesienia się za jakąbądź cenę, wprowadziły go na haniebną drogę; a w końcu okryły wzgardą.

Gdy mu cesarz Aleksander poruczył przyprowadzenie do kraju resztek naszej armii, otrzymał rozkaz zatrzymania się w Lipsku dla zabrania zwłok księcia Poniatowskiego. Spełniwszy ten obowiązek, Krasieński powinien był zniknąć, żyć wspomnieniami i oczekiwać wypadków.

Mówiąc o przewiezieniu tych czcigodnych prochów, muszę wewnątrznie się skupić. Jak tylko oznajmiono zbliżanie się orszaku pogrzebowego, droga pokryła się niezliczonym tłumem, biegnącym naprzeciw tego, którego uważano za depozytariusza chwały narodowej. Słychać tam było tylko zaklęcia i jęki. Duchowieństwo szło z wielką pompą aż do bram miasta, ażeby przyjąć ciało, które ustawiono na karawanie, pokrytym płaszczem gronostajowym i ozdobionym insygniami i herbami. Wojsko postępowało w posępnym milczeniu, ze spuszczoną bronią. Nagle rzucili się żołnierze do koni, wyprzęgli je i nie zapytawszy się nawet swoich zwierzchników, pociągnęli trumnę. Przybyli w ten sposób do kościoła Świętego Krzyża, tam oddali drogocenne brzemię w ręce generałów, którzy je złożyli w podziemnej kaplicy. Miano później przewieźć zwłoki Poniatowskiego do Krakowa do katedry, gdzie są pochowani nasi królowie i nasi wielcy ludzie.

Począwszy od tego dnia, co rano widywano tłum cisnący się na nabożeństwo, ze skupieniem słuchający mszy żałobnych, odprawianych przy trumnie; nieraz zdarzało mi się znaleźć obok siebie jakiegoś starego żołnierza, zraszającego łzami stopnie katafalku.

Mój powóz żałobny powoli tylko mógł postępować za orszakiem wśród tego tłumy, którego żal rozumiałam i podzielałam lepiej niż ktokolwiekbyż inny. Zabrałam moje dzieci; zdawało mi się, że dopełniam ostatniego obowiązku, przedstawiając ten posępny widok ich młodocianej wyobraźni; chciałam, ażeby nigdy nie zapomniały o chwale, jaką przynosi takie życie i taka śmierć.

CZĘŚĆ PIĄTA.

ROSYANIE W WARSZAWIE.

I.

Cesarz Aleksander.

(1815)

Rada ministrów. — Nowosilcow. — Fajka pana Łanskoja.

Podczas mego pobytu przy rodzicach męża, zajęta wychowaniem trojga moich dzieci, ze smutkiem rozpoczynam opowiadanie wypadków, jakie zaszły w Polsce po abdykacyi Napoleona.

Cesarz Aleksander oświadczył, że bierze niezwłocznie nasz kraj pod swoją opiekę. W Paryżu okazywał Polakom najpochlebniejszy szacunek.

Jak tylko los naszego kraju został postanowiony na kongresie wiedeńskim, cesarz Aleksander dodał do swoich tytułów tytuł króla Polski; chcąc nadać rządowi wygląd narodowy, ustanowił radę, do której powołano trzech nieskazitelnych ludzi: księcia

Czartoryskiego, Wawrzeckiego i księcia Lubeckiego—prezydencję złożono w ręce senatora rosyjskiego Łanskoja.

Nowosilcow należał również do tej rady.

Natura upośledziła tego człowieka, jakby chcąc, ażeby odpychający wyraz jego twarzy służył za ostrzeżenie dla tych, których jego zręczność i dwoistość mogłyby zaprowadzić w błąd. Zczował w niezwykle sposób i kiedy jedno jego oko głaskało, drugie przenikało do głębi duszy myśl, jaką chciano przed nim ukryć. Został mi przedstawiony przez księcia Czartoryskiego i w pierwszych czasach swego pobytu w Warszawie często mnie odwiedzał, zapewne chcąc się dowiedzieć, co mówiono i co myślano.

Przyznaję, że przez kilka miesięcy byłam nim oczarowana, uważając go za oddanego naszym sprawom. Bardziej odemnie doświadczeni na to się łapali i nie tak szybko rozczarowywali. Syn naturalny hrabiego Strogonowa, Nowosilcow wychowywał się za granicą, dzięki dobrodziejstwu tego magnata. Jego pobyt w Anglii nadał mu wygląd gentlemena. Jego wpływ fatalny na Polskę trwał przez lat dwadzieścia.

Jak tylko pan Łanskoj zainstalował się, sprowadził swoją żonę i swoje dzieci, odznaczające się brzydota Patagończyków. Jednak mimo swe wystające kości policzkowe i chińskie oczki, pan Łanskoj miał wygląd uczciwego człowieka, bardzo dobrze usposabiający. Należał do liczby tych Rosyan, co słusznie uchodzą za ludzi honoru.

Przypominam sobie, że zmuszona złożyć wizytę pani Łanskoj, zostałam uprzedzona przez przyjaciółkę.

że pan prezes pozwalał sobie, jak prawdziwy satrapa, przychodzić z fajką w ustach do salonu, kiedy mógł liczyć na pobłażliwość pań tam zgromadzonych. Byłam więc bardzo sztywna, ażeby nie być przyjętą poufale. Pokój, w którym się znajdowała pani Łanskoj, przesiąknięty mocnym zapachem tytoniu, nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości co do tego, co mi opowiadano, ale ponieważ kamerdyner pospieszył mnie zameldować, *Pan* miał czas oddalić się. Znalazłam tam wiele osób, między innymi Nowosilcowa, którego zainteresowałam z pewną przesadą o szkaradny odór, którym była zapowietrzona atmosfera salonu, radząc mu, żeby kazał starannie zbadać, czy za pośrednictwem rur kominowych salon ten nie znajdował się w komunikacji z *kordegardą*, mieszczącą się na podwórzu pałacu Brühlowskiego, który zajmował pan prezes. Mam wszelkie dane do sądenia, że mnie zrozumiano, gdyż odtąd powstrzymał się od palenia fajki w salonie, za co niejednokrotnie spotykały mnie podziękowania ze strony pań, które, nie mając odwagi okazać swego niezadowolenia, widziały się skazanymi na połykanie kłębow dymu tytoniowego, wychodzących z cybucha pana Łanskoja.

II.

Kongres Wiedeński.

(1815)

Książę Czartoryski na kongresie. — Korespondencya księcia z lordem Gray'em i lordem Holland'em. — Książę Metternich. — Książę Talleyrand. — Lord Castlereagh. — Kongres *tańczy*. — Monarchowie i kobiety. — Turniej. — Wiadomości o wyładowaniu Napoleona. — Niech żyje król polski! — Nowa konstytucya.

Książę Czartoryski, zaślepiony swemi złudzeniami i sądząc, że dopiął celu, do jakiego zmierzały wszystkie jego myśli i czyny, pospieszył za cesarzem Aleksandrem na kongres wiedeński. Tam rozpoczęła się nieustająca walka pomiędzy urojeniem a prawdą. Widząc, że zamiary Aleksandra nie były takie, jak się spodziewał, i namiętnie pragnąc zainteresować Anglię sprawami swego kraju, nawiązał książę poufną i nieustającą korespondencyę z lordem Gray'em i lordem Holland'em i usiłował wytłómaczyć im, jaka była konieczność dla spokoju Europy wstrzymania podbojów Rosyi, ustanawiając Polskę na tyle potężną, ażeby służyła za przedmurze zachodowi.

Te listy, których kopie widziałam, książę nieostrożnie powierzył sekretarzowi, będącemu od wielu lat przy jego boku. Charakter i poświęcenie tego

człowieka wydawały się więcej niż wystarczającemi rękojmiami, ale listy w końcu zostały skradzione w najniegodniejszy sposób i wydane Nowosilcowowi, który posłużył się nimi później jako głównym aktem oskarżenia przeciwko ministrowi i przyjacielowi, cieszącemu się całkowitem zaufaniem cesarza Aleksandra. Cesarz, mający sposobność przez wiele lat ocenić zalety i zdolności Czartoryskiego, wezwał go zaraz na początku kongresu do prac, odnoszących się do przyszłych losów Polski. Ale Czartoryski, zakładający całą swoją ambycję na tem, żeby być użytecznym swojemu krajowi i służyć mu z bezprzykładnym zapalem, był podobny do tych starożytnych bohaterów, co poświęcali ojczyźnie wszystkie swoje uczucia.

Ci, co podejrzewali go o pracowanie dla siebie samego, dziwnie się na nim nie poznali.

Widocznem było, że przedstawiciele rozmaitych gabinetów europejskich przyjeżdżali do Wiednia z innym nastrojem, niż cesarz rosyjski z sobą przywoził.

Wszyscy zgadzali się na niesprawiedliwość podziału Polski, jak również na niemożliwość zostawienia dłużej takiego stanu rzeczy, wywołującego ustawiczne niepokoje; wszyscy chcieli, ażeby ten kraj był przywrócony do dawnych swych granic, ażeby był wolny i niezależny.

Książę Metternich zaoponował w imieniu swego pana, oznajmił, że nie cofnie się przed żadnemi największemi poświęceniami, ale pod warunkiem, żeby Polska była rządzona przez rząd narodowy.

Talleyrand ze swej strony nalegał w imieniu

Francyi na wskrzeszenie Polski, ale król francuski, za ledwie przywrócony do swoich praw, mógł wziąć tylko udział doradczy w tej sprawie.

Ponieważ w Anglii opinia publiczna wpływa zawsze mniej lub więcej na politykę gabinetu, lord Castlereagh nie zaniedbał mówić o Polsce w sposób jasny. Szlachetny lord wymagał, żeby strony, mające udział w rozbiórce, przyjęły system, któryby im *przyniósł zaszczyt w oczach całego świata*.

Prusy, których interesy były związane z interesami Rosyi, zachowały milczenie, szczęśliwe, że uniknęły zburzenia, jakim groził Napoleon.

Wśród tych ważnych zajęć kongres *tańczył*, jak to złośliwie powiedziano. Nic z tego, co się działo, nie było dla nas nieznanem, każdy miał przyjaciół lub korespondentów, spieszących ze zdawaniem sprawy o najdrobniejszych szczegółach. Monarchowie, z zachwytem korzystali ze szczęścia, że są panami u siebie. Wielkiego olbrzyma, który tak długo ich niepokoił, nie było już tam, żeby im groził i powstrzymywał ich. Zupełnie szczęśliwi, bawili się *jak królowie*, jakimi zresztą byli, sądząc, że nie potrzebują się już niczego obawiać.

Dwór wiedeński roztoczył wspaniałość, której wcale nie oczekiwano; zdawało się, że tak blizki ruiny, powinien był wyczerpać swój skarb, ale wcale na to nie wyglądało. Cesarz Franciszek wydawał przepyszne festyny, a między innymi *turniej*, gdzie szlachta ze wszystkich krajów ubiegała się o przepych; starożytne bronie, jak również bogactwo czapraków, całych w złocie i drogich kamieniach, mogłyby w razie potrzeby służyć jako okup za znakomitych więźniów.

Najpiękniejsza panie ukazywały się pokryte dyamentami; rozrzucały sumy godne świetności festynu, który odbył się w obszernej ujeżdżalni cesarskiej. Uczestniczyło w nim wiele tysięcy widzów, dzięki biletom rozdawanym przez dwór i panie.

Wśród tych radości i tych wspaniałych rozrywek Talleyrand otrzymał depezę o wyładowaniu Napoleona. Można by powiedzieć, że to był piorun, uderzający z jasnego nieba i ścierający w proch śmiertelników, tem mniej przygotowanych do tego nieoczekiwanego ciosu, że zapomnieli już o swoich snach i o swoim poniżeniu.

Lew udawał tylko martwego; wracał mocny i pyszny! Wszystko padało na twarz za jego zbliżeniem, nie było już czasu na wymienianie not i układy; był to ogólny popłoch, stracono głowy ze wszystkim! Rozesłano kuryerów we wszystkich kierunkach, ażeby wstrzymać armie, zdążające każda do swego kraju. Można było zapewnić, że dnia tego monarchowie i ministrowie położyli się z kapeluszami na głowie i ze szpadami przy boku, tak wielkie było przerażenie...

Taki był koniec sławnego kongresu i poród traktatu w 1815 roku, który przyszedł na świat pod wrażeniem strachu, jaki wywarł na wszystkich nieoczekiwany powrót Napoleona. Traktat ten ustalił los Polski.

Aleksander, zadowolony z szybkiego i łatwiejszego wyniku, niż ośmielał się spodziewać, wzięwszy pod uwagę trudności, jakie z początku napotkał, ogłosił się królem kraju, który oddawano mu bez zastrzeżeń; rozgłaszał wszędzie odbudowanie, które, jak mówił, uważał za najpiękniejszy tytuł do nieśmiertelności.

Natychmiast wyprawiono kuryera, mającego za-
wieźć te ważną wiadomość do prezydenta, do sena-
tu i do pana Nowosilcowa.

Przybył nad wieczorem. Obradowano natych-
miast, jak należy ogłosić z *największą świetnością* za-
wartość ważnego pisma. Nowosilcow, dający inicya-
tywę wszystkiemu, postanowił, że najlepiej będzie
krzyknąć w sali teatralnej podczas antraktu: *Niech
żyje król polski!*

I tak się rzecz odbyła, a ponieważ na parterze
było wielu ludzi płatnych, a jeszcze więcej zwiedzio-
nych, okrzyki, zarówno jak oklaski, były szalone, ale
łoże pozostały chłodne i milczące! Żadna z oso-
bistości, mających wpływ na opinię, nie łączyła się z te-
mi głośnemi manifestacyami, wybuchającemi w różnych
punktach parteru.

Rząd reprezentacyjny, taki, jaki istniał w Anglii
w owej chwili, był ulubioną mrzonką cesarza Aleksan-
dra. Ci, co byli blisko niego i byli mu oddani, twierd-
zili, że jego chęci i zamiary miały zrobić więcej, niż
obiecywał; mówiono, że cesarz Aleksander, krępowa-
ny niezadowoleniem, jakie już wywołała w Rosyi je-
go stronność względem Polaków, musiał działać
z ostrożnością i powolnością.

13 maja 1815 r. Aleksander podpisał punkta kon-
stytucyi, mającej rządzić nowem jego królestwem. Zau-
ważono w niej nie bez zdziwienia pochlebną obietnicę, ja-
ką nam zrobiono, że upodobnią ją, o ile to będzie
można, z ustawą 3 maja 1791 r.

III.

Pobył Cesarza Aleksandra w Warszawie.

(1815)

Przybycie cesarza. — Ceremoniał. — Bal w salach ređutowych. — Wielki ksiąę Konstanty. — Karność rosyjska. — Wprowadzenie nowego ministeryum. — Ksiąę Adam Czartoryski. — Zajączek. — Pani Zajączkowa. — Kochanka wielkiego księcia. — Zemsta Konstantego.

Cesarz Aleksander wjechał do stolicy, otoczony podwójnym urokiem: dawcy powszechnego pokoju i dobroczynnego odnowiciela; urok ten był jeszcze podniesiony wdziękiem porywającego obejścia i tą pewnością siebie, jaką daje szczęście. Nie był to już młody i ufający ksiąę, jakiego widzieliśmy niedawno, gdy miał się narazić na klęskę. Był to monarcha w całej sile wieku — doświadczony w nieszczęściu, a teraz obsypany łaskami fortuny.

Przyjęto go ze spokojną i poważającą uprzejmością, która wistocie nie była podobną do entuzjazmu, jaki wzbudził Napoleon.

Długie rozprawy odbywały się nad sposobem, w jaki miano uczcić przyjazd cesarza Aleksandra. Jedni proponowali, żeby damy, przybrawszy na się postać bóstw słowiańskich, wyszły na jego spotkanie

i ofiarowały mu chleb i sól, te oznaki pokoju i sojuszu wśród narodów północnych. To wydało się słusznie zbyt teatralnem i nie zostało przyjętem. Inni chcieli, żeby przywrócono ceremonie, jakie odbywano niegdyś przy elekcyi. Nowosilcow zganil ten projekt, mówiąc, że nie wypada mieszać *wspomnień z nadziejami*. Zgodzono się więc na formy, przyjęte we wszystkich krajach, to jest na iluminacyę z *transparentami*, jak również na *bezpłatne* widowiska. Miasto wydało wspaniały bal w salach reutowych, które połączono z Wielkim Teatrem i które przybrano z nieporównanym smakiem i elegancyą.

Cesarz przybył tam, otoczony najwyższym sztabem generałów polskich; sam miał na sobie mundur naszych wojskowych, a za całą dekoracyę wstęgę Orła Białego. Moznaby powiedzieć, że starając się, aby zapomniano, iż panował nad innemi narodami, chciał wzbudzić w nas tyleż zaufania, co i miłości. Jego czarujące zachowanie, łagodny i dobrotliwy wyraz twarzy, wzruszały wszystkich.

Na tym to balu po raz pierwszy ujrzeliśmy wielkiego księcia Konstantego, spełniającego przy swoim dostojnym bracie urząd adjutanta; z szablą u boku, w obcisłym i zapiętym na wszystkie guziki mundurze, nie spuszczał z oczu cesarza, oczekując jego rozkazów i zdając się lubować w sztywnej i wyprężonej postawie. To też nigdy nie uwalniał się od tej parady i za każdym razem, kiedy cesarz przybywał do Warszawy, wielki książę nikomu nie ustępował swego miejsca; nazywał *obowiązkiem* to, co było największą jego przyjemnością. W ten sposób dobrowolnie skazywał się na to, że nie tańczył, stał usta-

wicznie przy drzwiach salonu, ażeby nie przeoczyć wyjścia swego zwierzchnika.

Pozwoliłam sobie przechodząc na żart, na który odparł z niewzruszoną powagą:

— Służba przedewszystkiem i sam cesarz nie mógłby mnie od niej zwolnić.

Takie było u tego księcia zamiłowanie karności, że byłby uważał za spełnienie występku, gdyby, ustępując naleganiom swego brata, na chwilę opuścił swoje stanowisko. Parada równała się dla niego polu bitwy, gdyż niezbyt odważny z natury, z tego niebezpiecznego rzemiosła lubił tylko cień. Jego niezwykła surowość względem żołnierzy wypływała z niezwykłej wagi, przywiązywanej do najdrobniejszych szczegółów. Gdyby Konstanty był obdarzony charakterem Aleksandra, byłby w końcu zjednął sobie Polaków. Prawdopodobnem jest nawet, że gorący patryotyzm, który nas popchnął do przedsięwzięć najzuchwalszych, a najmniej wyrozumowanych, podałby się w końcu wpływowi rządu.

Pierwszy pobyt cesarza przyniósł znaczne zmiany w administracyi Królestwa. Rząd stały zajął miejsce rządu tymczasowego. Pan Łanskoj wyjechał nie wiem już pod który stopień szerokości, aby rządzić jedną z prowincyj obszernego cesarstwa, i z pewnością był tam odpowiedniejszy, aniżeli w Warszawie.

Armia miała już dowódcę w osobie wielkiego księcia; chodziło o naznaczenie namiestnika Królestwa i o utworzenie ministeryum. Cesarz zawezwał do rządu prawie tych wszystkich, którzy byli ministrami podczas krótkiego trwania Księstwa Warszawskiego. Ignacy Sobolewski został sekretarzem stanu, Matuszc-

wicz—ministrem finansów, Mostowski—wojny, hrabia Stanisław Potocki, mój teść, ministrem oświecenia publicznego; tylko zarząd sprawiedliwości powierzony był człowiekowi ¹⁾, który nie brał poprzednio udziału w sprawach Polski, gdyż będąc na usługach Rosyi, przybył do Warszawy dopiero z chwilą, kiedy cesarz Aleksander ustanowił rząd tymczasowy. Nie był widziany bardzo dobrem okiem, chociaż jego uczciwy charakter i usługi, jakie oddał ojczyźnie w wojnie w 1794, powinny były wystarczyć, ażeby zapomniano o stanowisku, jakie był zmuszony przyjąć.

Wszyscy inni ministrowie byli to ludzie o umysłach wysokich, o znakomitem wykształceniu, których doświadczony patryotyzm i nieskazitelne postępowanie, budziły nadzieje silnie ugruntowane w całym narodzie, który mógł tylko przyklasnąć wyborowi cesarza Aleksandra. Na nieszczęście, na wzór Napoleona, uważał on za nieuniknione, żeby nad rządem czuwał jeszcze reprezentant, który przybrał tytuł *komisarza* cesarskiego przy rządzie Królestwa, a większem jeszcze nieszczęściem było, że to tak ważne stanowisko dostało się Nowosilcowowi. Jego zadaniem było, prawdę mówiąc, tylko *ulatuwanie* stosunków pomiędzy Polską a Rosyą; ale wskutek przebiegłości i zręczności, wkręcił się w końcu do Najwyższej Rady i wiedział wszystko, co się tam działo.

Nominacya namiestnika była pierwszym aktem, przez który cesarz Aleksander obruszył opinię. Nikt nie był godniejszy do zajęcia tego ważnego stanowiska, jak ksiązę Czartoryski. Serdeczny przyjaciel ce-

¹⁾ Tomaszowi Wawrzeckiemu.

sarza, obeznany ze wszystkimi tajemnicami polityki bieżącej, znany ze swoich cnót obywatelskich, rozległej wiedzy i bezinteresowności, był jakby z góry przeznaczony do zostania reprezentantem monarchy. Taka była prawdopodobnie pierwsza cność Aleksandra; ale ulegając od początku nieszczęsnemu wpływowi, poświęcił swego przyjaciela uprzedzeniom, albo raczej przywidzeniom swego brata.

Ksiązę Czartoryski zachował tylko swoje miejsce w senacie i stracił wszelki *bezpośredni* wpływ na sprawy kraju; bądźco bądź, pozostał kuratorem uniwersytetu wileńskiego. To ważne stanowisko robiło go najwyższym kierownikiem oświaty publicznej i ośm milionów Polaków, znajdujących się pod panowaniem Rosyan, zawdzięczało mu przez wiele lat najstaranniejsze wykształcenie.

Stanowisko namiestnika otrzymał Zajączek, który skłonił głowę zbiełałą w troskach i przyjął, jak powiedziano bardzo rozsądnie, urząd, przewyższający jego zdolności, ale nie dorównujący jego zasługom. Jako żołnierz parweniusz, wyniesiony przez nikczemnego Branickiego, zostawszy dworakiem Bonapartego, poszedł za tym generałem do Egiptu, nie zwróciwszy wszakże na siebie uwagi wśród tylu znakomitych oficerów.

Wszedłszy w usługi Polski w chwili, kiedy wielki człowiek stworzył na nowo naszą armię, postradał nogę w odwrocie z Moskwy, co złagodziło opinię niezbyt przychylną, jak również obelżywe pogłoski, jakie wywołało jego *dwuznaczne* postępowanie podczas wojny o niepodległość.

Żona jego zasługuje na zajęcie miejsca w moich wspomnieniach, i jeśli historia odmawia jej stronicy,

a ci, co ją, jak ja, znali zblizka, powinni oddając jej sprawiedliwość opowiedzieć, z jaką godnością potrafiła utrzymać się na wysokiem stanowisku, które od tąd było jej przeznaczeniem; wywierała ona wielki wpływ na swego męża.

Obdarzona taktem i umiarkowaniem nadzwyczajnem, była wielką z wielkimi, a skromną z nami. Jej nagłe wyniesienie w niczem nie naruszyło jej przyzwyczajenia, ani jej związków. Pochodząc z nieznaney rodziny, zachowała stosunki ze swoimi: nigdy się ich nie zapierała, nie starając się ani ich wynieść, ani wysuwać naprzód. Szlachetna i bezinteresowna, bez porównania więcej zajmowała się dobrą sławą swego męża, niż korzyściami, na jakie stanowisko jej mogło zrobić ją chciwą. Ulotna w swoich upodobaniach, a stała w uczuciach i zasadach, przedstawiała dziwną mieszaninę płochości najbardziej kobiecej z zadziwiającą stałością charakteru.

Napół minister, napół Ninon ¹⁾, z wyjątkiem rozgłosu, oddawała się swemu zamiłowaniu do stroju i mody, jak również swęj skłonności do galanteryi, wbrew swojej sześćdziesiątce, nigdy wszakże nie opuszczając sposobności, ażeby być użyteczną mężowi. Cesarzowa matka, chociaż surowa pod względem etykiety, podczas swego pobytu w Warszawie, przyjęła ją z nadzwyczajnem wyróżnieniem.

¹⁾ Ninon (Anna) de Lanclos, ur. 1616 roku w Paryżu, dzięki niepospolitym zdolnościom i wytrwałej pracy wysoko się wykształciła i otoczona była rojem wielbicieli z pośród najznakomitszych ludzi swego czasu; uczeni i poeci nieraz zasięgałi jej rady, ponieważ odznaczała się wytwornym smakiem. Zmarła w wieku podeszłym, w r. 1706.

ZAKOŃCZENIE.

Tutaj kończą się moje notatki. Jeśli odtąd będę pisała, to bez porządku i jedynie tylko, ażeby zaznaczyć ważne fakty, wyryte w mojej pamięci. Wzrastające moje osobiste smutki odjęły mi nietylko chęć, ale i zdolność zajmowania się memi wspomnieniami. Nie mogę znieść oskarżania innych dla usprawiedliwienia siebie. Zresztą *Wyznania* Rousseau'a, które odczytałam o wiele później, aniżeli zaczęłam pisać swoje „Pamiętniki“, dały mi dobrą nauczkę.

Mimo niezaprzeczonego talentu, zdarzało mu się być gadułą; w swojej nadmiernej próżności mógł on mniemać, że są ludzie, którym wolno się zaniedbywać wobec potomności, a tymczasem rzadko ona bywa pobłażliwą dla tych, co chcą ją zainteresować czysto osobistemi szczegółami.

Dziwnem i ciężkiem jest wrażenie, jakiego się doznaje, kiedy po długiem życiu rzuca się po za siebie uważne spojrzenie! Ileż to wypadków, które nam wydawały się niezmiernie ważnemi, skazano na zapomnienie! Ileż to ambicyj chybionych, nadziei zawie-

dzionych, żalów zatartych, zapałów wygasłych!... Ileż namiętności, zwanych *niepokonanemi*, zniweczonych przez czas! Ileż wagi nadanej nędznym sprawom i ileż dziecinnych próżności, co najmniejszego nie pozostały śladu! Jakaż nieprzebrana ilość ludzi znikła, jedni skoszeni w wieku młodzieńczym, inni przeszedłszy długi i ciężki zawód! Ileż czynów, ileż imion, co zdawały się zasługiwać na nieśmiertelność, wtrąconych w toń, pochłaniającą wszystko, gdy tymczasem ludzie mniej warci wypływają na wierzch, ponieważ są złączeni z ważnemi wypadkami!

A było się świadkiem tych dramatów, razem biegło się do tej samej przepaści;— wybuchy radości, okrzyki rozpacz, wszystko się zmieszało!

Przybywszy blisko do mety, czyż staliśmy się rozsądniejszymi, czyż jesteśmy zbrojni przeciwko nie-szczęściom i ulegli wyrokowi czasu? Niestety! człowiek przestaje cierpieć i spodziewać się wtedy dopiero, kiedy przestaje żyć. Wiek przeinacza i zmienia naturę naszych wrażeń, ale ich nie unicestwia.

— ❖ —

~~Biblioteka Państwowa w GLIWICACH
Nr. _____~~

SPIS RZECZY.

T O M I.

Anna z Tyszkiewiczów Potocka	Str. 5
--	-----------

Część pierwsza.

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI.

I. Zamek w Białymstoku (1794)	11
II. Emigranci i Ludwik XVIII (1798)	19
III. Astrolog (1802)	29
IV. Małżeństwo z hrabią Aleksandrem Potockim (1802) .	39
V. Łañcut i Pulawy (1802)	48
VI. Mistyfikacya (1803)	64
VII. Cesarz Aleksander w Wilanowie (1805)	80

Część druga.

FRANCUZI W WARSZAWIE (1806—1807).

I. Przednia straż	85
II. Wejście Napoleona	93
III. Pierwsze kroki wojenne	98
IV. Umizgi	107
V. Partya whista u cesarza	114
VI. Eylau	122
VII. Tylża	134
VIII. Marszałek Davout.	139

TOM II.

Część trzecia.

PODRÓŻ DO FRANCYI W ROKU 1810.

	Str.
I. Przedwstępne kroki do małżeństwa z Maryą-Ludwiką.	5
II. Pan Narbonne	14
III. Uroczysty wjazd do Paryża	21
IV. Dwór	28
V. Zabawy	36
VI. Salony	43
VII. Przechadzki po Paryżu	56
VIII. Malmaison. — Wyznanie.	68
IX. Obiad w Saint-Cloud.	81

Część czwarta.

KSIĘSTWO WARSZAWSKIE.

I. Bignon (1811—1812).	95
II. Wstępne kroki do kampanii rosyjskiej.	103
III. De Pradt	112
IV. Odwrót (1812—1813)	122
V. Śmierć księcia Poniatowskiego (1813)	135

Część piąta.

ROSYANIE W WARSZAWIE.

I. Cesarz Aleksander (1815)	143
II. Kongres Wiedeński (1815)	146
III. Pobyt cesarza Aleksandra w Warszawie (1815)	151
Zakończenie	157

Sprostowanie.

Tom I, str. 11, w. 11 od dołu zamiast 1894, powinno być: 1794.

Tom I, str. 14, w. 3 od góry zamst it burait, powinno być: „buvait”.





STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 19064